

KSIĘGARNIA,
SKŁAD NUT, CZYTELNIĄ
i Dział Pogładowy
A. G. SYRKIN
Wilno, ul. Wielka № 42.

„A gdy w głąb duszy wnikiemy”...



GABRYELA ZAPOLSKA.

„A GDY W GŁĄB DUSZY
WNIKNIEMY” ...

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Z przedmową

Wł. Jabłonowskiego.

T. 1-3
TOM I

Zugelassen — Leista
Zezwolano

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO
1904.



268944/1-3

Доволено Цензурою.
Варшава, 7 Октября 1904 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145759

W/162/03

RSIEGARNIA,
SKŁAD NUT, CZYTELNIĄ
i Dział Pogładowy
A. G. SYRKIN
Wilno, ul. Wielka № 42



PRZEDMOWA.

Dwadzieścia lat z górą upłynęło od chwili pojawienia się pierwszych prób talentu G. Zapolskiej. Pamiętam sam—wówczas jako bardzo młodociany czytelnik—ile hałasu wywołała jej „Małazka“ i „Akwarrelle“. Oburzano się na autorkę, gorszono się drastycznością jej tematów, wytykano—jako jedną z najzapamiętaleszych naśladowczyń naturalistów francuskich.

Cokolwiekbaż jednak dało się powiedzieć na niekorzyść autorki „Małazki“, niemniej talent jej uderzał każdego, odcinał się jaskrawo od masy innych, trzymających się utartych dróg i uświęconych tradycją szablonów.

Być może, najcharakterystyczniejszym dla całej późniejszej twórczości G. Zapolskiej było właśnie unikanie szlaków dobrze wydeptanych, stałe pragnienie zmiany, obawa form stygnących i rodzajów

uznanych, niechęć do wyzyskiwania jednych i tych samych materyałów. Zmieniając nieustannie przedmioty twórczości, doskonaląc technikę pisarską, uzupełniała wciąż autorka swój talent, z natury bogaty, ćwiczyła go w rozmaitych kierunkach, poddawała rozmaitym próbom. To też wyrobił się różnorodnie, wszedł w styczność z masą najsprzecznijszych zjawisk bytu, zaostrzył wrażliwość swoją na to wszystko, co jest głębszą treścią życia, nie zaś jego pozorem, łatwo dającym się chwycić za pomocą zmysłów elementarnych.

W początkach swojej twórczości, kiedy pisała „Małazkę“, „Kaszkę Karyatyde“ i t. p. utwory, miała G. Zapolska żywe poczucie pierwiastkowych sił, poruszających życiem, sił brutalnych, żywiołowych, decydujących o fizyologii ludzkiej, o fizycznej naturze człowieka. Wszystko, co było fatalizmem temperamentu, grubym i jednostronnym wynikiem działania krwi i nerwów, to wszystko podkreślała Zapolska jaskrawo, odsłaniając śmiało instynkty i namiętności „człowieka-zwierzęcia“. W tym kierunku sztuka jej zaszła daleko, osiągnęła wielką wprawę i swobodę. Tę sprawność w odtwarzaniu człowieka fizyologicznego, całej dzikiej i bolesnej historii jego nędz, znikczemnień i potworności wszelkiego rodzaju, związanych z życiem jego, zachowała Zapolska nawet i podziś dzień. Na tym jednak stopniu sztuki swojej nie zatrzymała się wyłącznie — nie zesztyniała w zewnętrzny naturalizm, lecz w ciągu długoletniej ewolucji twórczej, wyrывая się nieraz z obrębu rzeczywistości brutalnej i poziomej w sferę życia

mniej powierzchownego, zupełniejszego i nienapiętnowanego szpetnością instynktów zwierzęcych, wzbogaciła talent swój niejednym pierwiastkiem świeżym, niejednym natchnieniem, unoszącym ducha w promienne dziedziny bytu, mnóstwem uczuć i myśli, oczyszczających i wysubtelniających jej twórczość. Dziś z dawnych upodobań autorki „Kaszkę Karyatydy“ nie wiele zostało. W utworach jej „człowiek-zwierzę“ został zastąpiony „człowiekiem-duszą“, fatalizmy ciała ustąpiły miejsca zagadnieniom życia psychicznego, udręczenia chorych, zwyrodnionych zmysłów niepokoją ją nie tak, jak niegdyś, sercem jej natomiast wstrząsają sprawy duszy ludzkiej, to, co się ukrywa po za powłoką bytu cielesnego.

„Z jakich bólów twoja dusza wyrosła, z czego się składa godzina twego smutku, czy lzy twoje mają barwę piękną, przez które przeszedłeś?“ — zapytuje wciąż w zetknięciu się z ludźmi jedna z postaci ostatnich utworów Zapolskiej. W ten sposób, w zetknięciu się z życiem, z ludźmi, zapytuje i sama ich autorka, na te pytania szuka odpowiedzi, wchodzi w labirynty psychiki ludzkiej, dociera do źródeł życia głębokiego, do tych jego wirów, w których kłębią się i szamocą z bólu dusze żyjących.

Stało się to obecnie pierwszorzędną troską G. Zapolskiej, nutą dźwięczną i natężoną jej twórczości.

Wymownem świadectwem powyższych usposobień jest jedna z ostatnich jej powieści — *A gdy w głąb duszy wnिकniemy.*

W utworze tym punkt ciężkości życia ludzkiego przeniosła autorka w najgłębsze i najjaśniejsze warstwy ducha naszego, w sfery niezmacone wzburzeniem krwi, rozkielznaniem żądz, paroksyzmami i wybuchami instynktów. Zostały tu poruszone te siły życia, które potęgę swoją czerpią w pragnieniu oddziaływania duchowego, w kierunku prawdy i dobroci—współczucia dla tych, których trzeba podnosić z upadku i poniżenia, oddania się bezinteresownego tym, co szlachetniejsze pierwiastki ducha swego przykryli warstwą błota życiowego, co się zaparli samych siebie, swej najwewnętrzniejszej istoty, dla tryumfów wątpliwych i powodzeń światowych.

Interes główny, zagadka stosunku pomiędzy ludźmi, polega tu nie na tem, że jedni posilkują się drugimi dla swoich widoków grubo-egoistycznych, nie na chęci urzeczywistnienia za pomocą kogós swoich potrzeb materialnych, zaspokojenia żądz i zwiększania uciech zmysłowych—lecz na szlachetnem pragnieniu budzenia w ludziach tych potęg duchowych, które wypełniają życie wartościami trwałymi, wnoszą w nie czystość uczuć, niezależność dążeń, dumne poczucie godności osobistej, zdobiąc je w ten sposób w piękno istotne, oczyszczone z blasków fałszywych, z nieszczerości i pozorów.

Tu jedni pragną przewagi nad innymi, nie po to, by ich wyzyskać, uczynić narzędziem posłusznem, bądź sponiewierać i odtrącić potem, jako rzecz nieużyteczną, lecz po to, by ich odradzać, utrzymywać w dążeniu do celów wzniosłych, krzepić w chwila-

chach zwątpienia o sobie, budzić natchnienia płodne i prowadzić w świetlane dziedziny istnienia.

Powiadają oni do tych, co potrzebują wsparcia moralnego i wchodzą na drogę odrodzeń:—Czerpiecie z naszych dusz, bierzcie z tamąd moc, zachęte życia lepszego, pragnienie oczyszczenia się i umiłowanie prawdy!...

Dają oni innym swoją jasność i czystość, pozostawiają więc w duszach, ku którym się zwracają, wrażenie wielkiej światłości, co się przesuwa przez ich życie, jak zorza walcząca z mrokiem, kreśląca na widnokregu hasła nadziei, otaczająca atmosferą świeżości i chęci życia.

Pełni dobroci, wysyłają oni tę swoją dobroć, promieniejącą poświęceniem, jak zwiastuna życia lepszego, jak gońca, który wylamuje kraty więzienne i rozcina pęta skazańców uwięzionych.

Jeżeli z kim walczą, to na dusze, zwracają się do głębszych stron ducha ludzkiego, wnikają weń gorącością serca, słodyczą wewnętrzną, pięknem uduchowionem. Łączą się z ludźmi łagodnem, lecz mocnem i śmiałem wzruszeniem duszy, myśli ich zaś dążą ku nim najczystszyimi liniami uczuć.

Bez samolubnego wyrachowania, w prostocie i ciszy ducha, nieznającego podstępów i ścieżek krętych, idą wprost ku głębiom ciemnym dusz ludzkich, by je blaskiem własnej rozjaśnić.

A jeśli nie przetwarzają gruntownie dusz, ujarzmionych materialną stroną istnienia, to w każdym razie otwierają im oczy na ich nędzę, na błahość celów i poziomość pobudek, budząc w nich świadomo-

mość złego, poczucie wstydu, skrucę i chęć śmielszych lotów, podnoszących ich czoła ku szczytom, ożywiających serca tęsknotą za atmosferą prawdy, nieoszczędnej komedyanctwem uczuć i prostactwem myśli.

Ich działanie, poczęte z miłości wielkiej, wyniki ich trudów i starań nie zawsze są wolne od błędów, nie zawsze wieńczone powodzeniem. Zawody, błędy mimowolne i porażki bolesne gotują im ludzie, nie mogący wnikać w czystość ich zamiarów, w piękno niematerialne ich pragnień—ci, co na spotkanie ich dusz białych, jak kryształ przezroczystych i tchnących świeżością, wychodzą z żądzą, ukrytą w głębi ich istoty, podczas gdy jej warstwy zewnętrzne lśnią sztucznym blaskiem czystości, nierzetelnej, ale ludzkiej.

Sprzeczności instynktów i dążeń, zachodzące pomiędzy temi duszami odrębnymi, uniemożliwiają ich przeniknięcie się wzajemne, rozstrajają chwilową harmonię, czynią sobie obcemi istoty, które się przywoływały i tęskniły do siebie.

Nieporozumienie fatalne pociąga za sobą zwątpienie jednych, zachwiewa ich zaufanie w siły własne i drogi, któremi szły, w kierunku oddziaływań szlachetnych, innych zaś—stawia na bezdrożu, oddaje na pastwę tych sił wrogich, które utrzymywały ich na niskim poziomie uduchowania.

Powyżej zaznaczone rysy, właściwe duszom wybranym, skupiła autorka na głównej postaci powieści swojej (Anka), znacząc ją z wielką siłą umiłowania stygmatem istotnego piękna wewnętrznego.

Jest to pełna głębokiego uroku postać, utkana, prawdziwie, „z powietrza, z blasków słońca, z gwiazd, ze srebra księżyca, z przeżytych łez i bólu“, słowem z pierwiastków, wytrawionych z brudów życia, odpornych na wszystko, co jest jego ohydą.

Postać Anki przypomina mi jedną z piękniejszych kreacyj kobiecych, artystkę Foscarinę, ze słynnej powieści G. d'Annunzia *Il Fuoco*. Niema ona takiego majestatu wzniesłego, takiej bezgranicznej zdolności poświęcenia się, co Foscarina, odznacza się wszakże większą świeżością i tchnie dumą ogromną i wielkiem pragnieniem samoistności duchowej. Jest to niewątpliwie jedna z wysoce poetyckich, głęboko odczutyh i z mocą niezwykłą zarysowanych postaci powieściowych. Na niej właściwie skupiła powieściopisarka wszystkie mocniejsze promienie swego talentu, otoczyła jej głowę aureolą światła najczystszeo. Ona również jest środkową osobą utworu, głównym działaczem i sprawcą wypadków w nim zachodzących. O nich dowie się czytelnik z samego utworu—tu chciałem tylko zwrócić uwagę na jego charakter i na to, co jest jego niezaprzeczoną ozdobą.

Wł. Jabłonowski.

Po ścianach domu pięły się liście powoju i winogradu, tworząc w ten sposób wilgotną przed słońcem makatę.

Ogródek dobrze utrzymany, pełen błękitów w kształcie serc i kółek, błękitny od niezapominajek, fioletowy od bratków, otaczał dokoła willę i kilku tarasami opadał ku brzegowi rzeki.

Nieliczne drzewka filtrowały słoneczne blaski, a kilka osik drżało osobno, strzelając przy murze zieloną kaskadą, zakończoną u wierzchołka rzutkami purpurowych liści. Anka utkwiała wielkie, marzące oczy w przestrzeń i zdawała się zapominać o pracowni, o znajdujących się w niej koleżankach, o swym pustym rajsbrecie—o świecie całym.

Tymczasem koło niej mozoliło się kilka istot kobiecych, o pochylonych plecach i starannie uczesanych głowach. Od czasu do czasu z po za rajsbretu wychylała się młoda twarzyczka, przecięta brózdą, z wargą przeciętą z nadzwyczaj wyjącej pracy.

Była to lekcya rysunku z żywego modelu, i dziewczęta przykładały szczególną wagę do tej sprawy, wiedząc, jak bardzo cenil „pan profesor” rysunek z natury.

W dobrym punkcie świetlnym siedział ów żywy model, poszukiwany i rozrywany na malarskim targu.

Dziewczyna młoda, płaska w piersiach, trochę zgarbiona, odziana w przepyszną fioletową katankę, nasadzoną czerwonymi paciorkami i wyszytą zieloną włóczką. Siedziała w pozie naturalnej, położywszy ręce na kolanach, osłonionych ładną, perkalową, kwiecistą spódnicą.

Twarz miała ogorzałą, a oczy jasne, prawie żółte, o chwilowym zielonawym odcieniu. Zęby zdrowe błyskały od czasu do czasu w wargach

I.

Początkowy uśmiech ironii, z jakim Anka patrzyła na pochylone nad rajsbretami dziewczęta, stopniał i przeszedł w zamyślenie.

Anka obracała w palcach gałązkę świeżo zerwanego bzu i, oparta o ścianę pracowni, patrzyła przed siebie.

Oczy jej wielkie, czarne, nieco wypukłe, miały wyraz jakby senny i zdawały się pić światło z wnętrza istoty dziewczyny.

Odziana w lekką, muślinową suknię, przytulona do tła spłowiałego Aubusson, obramowanego zieloną ramą, zdawała się być dziwnie powiewną i jakby lekko naszkicowaną. Pleć jej jednak była ciemna, brwi dość szerokie i czarne, włosy prawie krucze. Mimo to, całość sprawiała wrażenie istoty jasnej, słonecznej, tak, jakby jakieś promienie były od tej kobiety.

Szeroko otwarte okno pracowni odsłaniało olbrzymi szmat krajobrazu i horyzontu. W oddali siniała dziwnie ciemna fala rzeczna, ujęta w poszarpane ziemistymi płatami zielone brzegi.

opierzchłych. Jasne włosy skromnemi pasmami po za uszy się kryły.

W pozie tej dziewczyny, w jej pochyleniu karku, w apatyi jasnych źrenic, była cała moc jakiegoś lenistwa, pełnego wdzięku, coś, zdającego się na łaskę i siłę natury, jakby pełny kwiat polny, w upalne popołudnie zwieszający się z lodygi nad łąką szmaragdową.

Z tej Maryśki, która codzien do miasta przyjeżdżała na furze swej matki pomiędzy blaszankami, pełnemi sinego mleka, aż biją barwy, jak od krasnego maku.

Czerń ółwka nie jest w stanie pochwycić zasadniczego tonu piękności dziewczyny i przez to czarne postacie Maryśki, które ładnie uczesane panny na rajsbretach szkicują—nie są *niq*, nie są tą dziewczką, tkwiącą w fałdach swych kolorowych szat, jak złoty jaskier w pęku jaskrawego kwecia.

Tak pomyślała i Anka, gdy spojrzała na „model“, zajmujący podium.

— Nie, nie—zaprotestowała dusza dziewczyny— to nie dla mnie robota.

Niemniej jednak—od horyzontów dalekich, które widać po za oknem pracowni, przeniosła powoli wielkie czarne źrenice na siedzącą w krasie i barwie dziewczkę, i oblala ją niejako tem spojrzeniem, które zdawało się zawsze otulać przedmiot widziany, jakby osłoną z czarnej ciepłej mgły.

Ta mgła oczu Anki zaciskała się powoli dokoła postaci „modelu“, odbierała jego formę, przyswajała barwę.

Równocześnie mgła ta przenikała zewnątrzność Maryśki, wchodziła w zetknięcie z jej duchem i chłonięła go w siebie.

Musiało być coś silnego i niepokojącego w tych oczach Anki, bo Maryśka zaczynała się niepokoić

i coś, jakby prądy, przebiegały pod jej spaloną skórą.

Kilkakrotnie poprawiła się i widoczne było, iż koncentruje całą siłę swej woli, aby utrzymać pozę.

Drzwi pracowni, pokryte ciężką zasłoną z tak zwanej verdure gobelinowej, zawieszanej na hebanowej strzale, uchyliły się, i w fałdach ciemnej zieleni zamajaczyła głowa mężczyzny, która chwilę zwróciła się na obie strony, ogarnęła wzrokiem pracujące panienki i dyskretnie zniknęła w fałdach gobelinu.

Dziewczęta poruszyły się nerwowo, sądząc, że „pan profesor“ wejdzie do pracowni kontrolować ich pracę. Ta i owa zacisnęła silniej usta, jedna pokryła się gorącym rumieńcem, Marysia przybrała pozę spiżowego posągu.

Lecz profesor cofnął się w głąb mieszkania, i znów nastąpiła cisza czerwcowego popołudnia, przesyconego wonią bżów i brzękiem roju much, kręcących się w powietrzu.

Anka na widok profesora ani drgnęła.

Stała ciągle oparta o ścianę i tylko z gałązki bzu, którą trzymała w ręku, powoli opadał deszcz kwiatów i czepiał się jej lekkiej sukni.

W gruncie rzeczy nie obchodził jej wcale sąd Stalewskiego. Och! mógł ją nawet ostro złać wobec koleżanek, iż nie chce brać udziału w programie lekcyjnym. Tak bardzo była w tej chwili daleka od solidaryzowania się w pracy z tą gromadką ładnie uczesanych dziewcząt, iż nagana za ten brak solidarności nie dotykała jej wcale. Wydawały się jej komiczne z tem pochyleniem głów, jakby pod jarzmem, które ręka Stalewskiego na kark im zakładała.

— Bezmyślna trzoda!—przemknęło jej po głowie i naraz uczuła pewien ból, bo w ślad za tą

myślą przyszła druga—wyobrażenie Stalewskiego, jako barana-prowodyra tej bezmyślnej trzody.

Mimowoli pobiegła wzrokiem ku drzwiom, zakrytym gobelinem, na którego tle zjawiała się była przed chwilą głowa mistrza. Z nadzwyczajną siłą, jakby wywołane zaklęciem, przesunęło się jakby odbicie słabe tej głowy, pokrytej kędzierzawym, puszystym włosem, o przesłicznym stalowym blasku.

Szafirowe oczy, cera biała z lekkim rumieńcem, prawie dziecinnie świeża, proste rysy nosa, brwi i ust, okolonych ciemnym miękkim zarostem—słowem, twarz Stalewskiego taka, jaka unieruchomiona, zawieszona na autoportrecie, patrzyła ze ścian pracowni—powróciła znów przed oczy Anki.

Ogarnęło ją dziwne zniecierpliwienie, rodzaj cierpkości i gniewu, jaki ją przejmował zawsze za zbliżeniem się profesora. Patrzyła na niego z żalem i uwielbieniem dla techniki, w jakiej był mistrzem.

— Tylko... technika! — pomyślała z rozżaleniem.

Po za kratami ogrodu dały się słyszeć młode, świeże głosy męskie. Kilka z tych głosów nuciło jakąś piosenkę. Anka oderwała się od ściany i wychyliła przez okno. Banda młodych mężczyzn, niosących pudełka malarskie, parasole, składane krzeselka, staluzki, szła wzdłuż krat willi. Niektórzy z nich byli ubrani z widoczną tendencją ku ekscentryczności. Granatowe berety, szkockie czapki, ubrania cyklistów—ubarwiały grupę. Jeden z nich miał długie, czarne włosy, gładko na skroniach przyczesane. Twarz jego była ascetyczna i oczy pełne złośliwości. Inny, w długiej po kostki, zakopiańskiej pelerynce, miał okrytą głowę florenckim, dziwnym kapeluszem.

Anka, zobaczywszy tę grupę, widocznie z myślą przyjrzenia się willi Stalewskiego zatrzymującą

się pod kratami ogródka, mimowoli uśmiechnęła się prawie szyderezo. Wielkimi swemi źrenicami ogarnęła tę gromadkę, lecz nie było to spojrzenie, jakie przed chwilą otuliło siedzącą na podium dziewczynę. Widocznem było, iż Anka nic z tej całej grupy nie chce zabrać w swą duszę.

Patrzyła jednak mimowoli, bo młodość jej ciągnęła młodość tych chłopców, rozsypanych prawie pod jej stopami. Świeże, dziecięce niemal jeszcze spojrzenia skrzyżowały się. Młody chłopak o długich, czarnych włosach, powiał na wiatr swym białym beretem.

— *Salve!*—zawołał—*salve stella marina!*

Blady uśmiech przesunął się po ustach Anki. Skinęła głową i patrzyła dalej, a ku niej podnosiły się całe rzędy ocz młodych, świecących, ciekawych.

— My na studia!...—ciągnął czarnowłosy chłopiec—idziemy odtwarzać rachityczne krowy na łące świeżo skoszonych.

Anka ciągle uśmiechała się blado, zainteresowana w tej chwili całą masą przyborów, jaką dźwigali z sobą ci młodzi koledzy.

— Proszę z nami!—zabrzmiało od dołu.

— Prosimy! prosimy!

Kilka rąk czepiło się krat. Ten i ów wylazil na podmurowanie. Dużo w nich było buty, energii i pewnej zuchwałości paziów, rozpuszczonych samopas podczas nieobecności królewskiej pary.

— Prosimy!... na studia!

Anka pokręciła głową.

— Nie, nie... — odparła wreszcie niskim, altowym głosem, który, jak ciemny motyl, nagle popłynął w przestrzeń—ja na studia nie chodzę!...

— Dlaczego?—pytano z dołu.—To przecież konieczne. Trzeba wyleźć z nory. Na światło! na światło!...



I z kilku piersi silnych zabrzmiało chórem:
— Na światło!

Anka z pewną litością patrzyła teraz na nich. Ukazywali rękami horyzont i szmaty zieloności, a ten cały obszar wydał się Ance tak zacieśniony, tak przytłoczony w porównaniu z tym ideałem, który w piersi nosiła, iż to rwanie się tej gromadki uczyniło na niej wrażenie raczej komicznych usiłowań małych żuków, uważających krzak przydrożny za całe światy.

Nagle ktoś dotknął jej ramienia.

Obejrzała się.

Był to Stalewski, który od kilku chwil wszedł do pracowni i, przechodząc od rajs Bretu do rajs Bretu, zajmował się pracą uczennic.

Przechodząc koła okna, dojrzał grupę młodych malarzy, uczepionych u krat jego ogrodu. Na ten widok zmarszczył brwi, wyprostował swą wyniosłą postać i zwrócił się ku Ance:

— Panno Anno! — wyrzekł ostrym, nieprzyjemnym głosem — proszę, zechciej się pani cofnąć w głąb pracowni.

Anka mimowoli usłuchała prośby, a może rozkazu malarza.

Uczyniła to nie dla sprawienia mu przyjemności, lecz dlatego, że natura jej cofała się z odrazą przed jakąkolwiek drobiazgową sprzeczką lub dyskusją.

Wiedziała zresztą, iż Stalewski żywiłowo nie-nawidził tych „młodych“ w życiu i sztuce, którzy z taką pychą rozrzucali po drodze życia całe skarby siły i zuchwałej nadziei.

Stalewski cofnął się także równocześnie od okna i nerwowym ruchem wskazał Ance jej pusty rajs Bret.

Twarz Anki pokryła się ciemnym rumieńcem.

Z nadzwyczajnym wdziękiem, powoli, uchyliły się jej rzęsy i ciemne jej źrenice spoczęły przez chwilę na twarzy Stalewskiego. Równocześnie ręce zakresliły prześliczny gest i dłonie roztworzyły się, jak płatki róży.

— Nie mogę! — wyszeptwała z pewną pokorą w głosie.

Stalewski zmarszczył brwi i właściwym sobie ruchem brodę przygryzł.

— Trzeba jednak! — wyrzekł — trzeba koniecznie. Co z pani będzie, jeżeli nie potrafisz rysować z natury...

Lecz ona znów powtórzyła ten sam gest i znów cicho wyszeptwała:

— Kiedy nie mogę!

— Czy się pani ten model nie podoba?

Anka chwilę nie odpowiadała.

Ogarnęła znów spojrzeniem całą postać Marysi i pewna ekstaza zdawała się ogarniać rysy jej twarzy.

— Owszem, to bardzo piękne — wymówiła, patrząc wciąż na modelkę.

— Jeżeli pani odczuwasz, że to jest piękne, dlaczego nie rysujesz?

— Właśnie... dlatego — odparła Anka z prostotą.

Nagle u krat na dole ożywiła się rozmowa młodych malarzy. Lecz teraz dołączył się do głosów męzkich głos kobiecy, wesoły, trochę skrzypliwy, przerywany kaskadą śmiechu.

Na ten głos zachmurzyło się do reszty czoło Stalewskiego. W pierwszej chwili uczynił ruch, jakby chciał podejść do okna, lecz po namyśle cofnął się zupełnie w głąb pracowni. Podeszedł do jednej z panien i odebrał jej ołówek z ręki, usiadł przed jej rajs Bretem, czyniąc odpowiednie poprawki. Inne dziewczęta, podniosłszy się z miejsc, słuchały. Anka, uwolniona od badania Stalewskiego,

zbliżyła się do okna, i oparłszy się o futrynę, patrzyła na scenę, jaka się na dole, przy wejściu do ogrodu, rozgrywała.

U otwartej już furtki stała wysmukła kobieta, w średnim wieku, ubrana w ślicznie skrojoną szarą płócienną suknię. Kamienny kolor płótna, ściśle przylegającego do kształtów kobiety, czynił z niej rodzaj statuy, tembardziej, że poza, jaką przybrała bezwiednie, była ściśle piękna i przesłicznie harmonijna.

Włosy ciemno blond, wpadające w kolor mahoni, ukryte były pod płaskim kapeluszem, zarzuconym masą liliowych, fantastycznych kwiatów.

Kobieta owa miała na sobie dużo breloków i łańcuszków, które dzwoniły w takt jej śmiechu. Kolo niej mały chłopczyk w białej pikowej sukience i skarpetkach, pociągał ją niecierpliwie za suknię, pragnąc jaknajspieszniej dostać się do willi.

Lecz strojna kobieta nie śpieszyła się wcale. Oparta o kłamkę furtki, rozmawiała z nadzwyczajnym ożywieniem z grupą młodych malarzy. Nie wszyscy wprawdzie zbliżyli się do niej, lecz ci, którzy byli blisko, widocznie jej znajomi, szermowali zręcznie dowcipami, któremi kobieta zdawała się ciskać, jak rakieta.

Pomimo wielkiej uprzejmości, z jej strony widocznej w pochyleniu jej ciała, w staranności tonu głosu pieszczotliwego i jakby schlebiającego, było pomiędzy grupą tych młodych a tą kobietą coś nieszczerzego, coś jakby dysonans, który biegł wzdłuż krat ogródka i wstrząsał silnym prądem liście winogradu, okalające okna pracowni.

Anka patrzyła na ten manewr Stalewskiej i poczuła dużą litość dla tej kobiety, która z taką uniżonością starała się zjednać dla siebie zuchwałstwo i siłę tej młodej garstki, imponującej jej przewagą buty, z jaką młodość idzie przez życie.

— Zaprosi ich na fixy! — pomyślała Anka — znając charakter „żony profesora.“

Lecz Stalewska poszła jeszcze dalej w swej wielkiej grzeczności. Pochyliła się ku grządce narcyzów, która rosła obok furtki, i zebrała pęk tych ślicznych kwiatów. Z wytworną grzecznością, lecz bez śladu prawdziwego wdzięku kobiety, manewrującej z kwiatami, zaczęła rozdawać narcyzy pomiędzy młodych malarzy. Kilku z nich wyciągnęło ręce, jeden z nich zatknął śnieżny kwiat w butonierce, inny za uchem, lecz reszta, stojąca na uboczu, przybrała drwiącą postawę. Jeden z nich machnął ręką i demonstracyjnie dalej drogą iść zaczął.

Stalewska poczuła, że przeciągnęła strunę. Spiesznie, dowcipkując, żegnać się zaczęła, do Anki doleciały słowa: „a więc we wtorek!“

— Zaprosiła ich! — pomyślała Anka z odcieniem ironii — zaprosiła!

Garstka młodych malarzy przesunęła się wzdłuż krat z ruchami uliczników. Młody człowiek o gładko przyczesanych włosach i złośliwych oczach obejrzał się na okna pracowni.

Anka cofnęła się instynktownie, jakby te oczy miały w sobie żądla os. Przesunęła rękę przed sobą, jakby odgarniając jakiś promień włosów, który jednak wcale nie nasunął się jej na czoło. Wzrok tego chłopca mieszał ją zawsze i wyprowadzał z równowagi.

Nie lubiła tego wrażenia.

Spojrzała w głąb pracowni. Zdziwiła się, zobaczywszy ją pustą.

Lekcyja skończyła się, panienki wyszły, uprowadzając z sobą Marysię. Równocześnie posłyszała Anka na dole, w ogródku, gwar wesółych głosów.

Panienki wyszły na ogród i zmierzały ku furtce. Spotkały się ze Stalewską, która żegnała je hałaśliwymi oznakami sztucznej serdeczności. I znów po-

wtórzyła się komedia kwiatowa. Stalewska zrywała narcyzy, obdarzając nimi dziewczęta. Chwilę trwał wesoły śmiech i wymiana grzeczności. Późem wszystko ucichło. Stalewska weszła do willi, pаниenki poszły w stronę miasta, prowadząc pomiędzy sobą Marysię, jak okaz wystawowy, z całą perfidją niedojrzałych *snołów*.

Anka widziała przez oplecione winogradem okno te dwie gromadki młodzieży, rozchodzące się każda w inną stronę. Skrajem rzeki szli rażno i żwawo mężczyźni, przybierając pozy zaniedbane wielkich mistrzów, kobiety, starające się nabrać swobody ruchów, lecz skrepowane wychowaniem i oglądą salonową.

Szli, unosząc z sobą wiarę w drobiazgi życiowe, które dla nich jeszcze przybierały rozmiary niezwykłych zdarzeń, i siejąc po drodze płatki śnieżne narcyzów.

Za chwilę—a tam, na lewo, zielona spódnica Marysi, na prawo—czerwony beret, mignęły i rozplynęły się w mgle, która o zachodzie powoli od rzeki podnosić się zaczęła.

Anka stała ciągle wpatrzona, wsłuchana w to życie, które rozsypywało się przed nią na drobne cząsteczki i z których ona całą siłą wylawiała większe bryły, aby z nich wykuć jakiś fakt, który przekonałby ją o celowości istnienia.

II.

Anka, znalazłszy się sama, wyciągnęła ręce w górę ruchem kogoś, kto zrzuca z piersi gniotący go ciężar. Postąpiła na środek pracowni i opuszcila

się prawie bezsilnie na jeden ze stojących na środku taburetów.

O! jakże ona ją знаła dobrze tę pracownię Stalewskiego, głośną i znaną w całym mieście, niemal w całym kraju! Był w niej przepych parweniusza, dobry smak kolekcjonisty z zamiłowaniem, chęć naśladowania Makartowskich pstrokacizn, obok pewnej surowości stylowych, lub barwności góralskich i delikatnych, prawie motylić piękności dzieł japońskich. Jak wielkie Kafarnaum, jakby jakaś jaskinia, gdzie były i kąty renesansowego rozmarzenia, i huculskie, koralowej krasy torby, kilimki, pasy, poprzecinane główkami barokowych aniołków. Główną piękność i wartość tej pracowni, reprodukowanej wielokrotnie w pismach ilustrowanych, stanowiła kolekcja gobelinów, rzadkiej i wielkiej piękności. Pokrywały one ściany, zwieszały się ze strzał hebanowych, tworząc zakątki, i wszędzie kładły wdzięczną nutę piękności czasów ubiegłych. Pudrowane Junony roztaczały swe wdzięki i suknie o splewiałych barwach różowych. Twarze nimf i pastuszków szare były i oczy ich straciły niemal barwę, lecz drzewa „hesperyjskich ogrodów“ zachwycaly doskonałą świeżością kolorytu.

Ponad sofą, okrytą skórami białych niedźwiedzi, zwieszał się najcenniejszy klejnot całej kolekcji: Narcyz, przeglądający się w nurtach rzeki. Narcyz ten miał, wbrew modzie z czasów Ludwików, włosy płasko przyczesane na skroniach i długą twarz ascety.

Pochylony nad wodą, patrzył w jej głąb, a w raz jego twarzy, zamiast legendowego zachwyty, nosił na sobie jakiś nieokreślony uśmiech ironii. Nigdy podobieństwo tego Narcyza gobelinowego do młodego artysty, który przeszedł wzdłuż krat willi, nie uderzyło tak Anki, jak w tej chwili. Na palcach, jakby czając się, piękna i lotna w swych mu-

ślinach, podeszła do sofy i przyklekła na białych skórach. Ręce splotła z tyłu i patrzyła w twarz Narcyza, przystoński oczy długimi czarnymi rzęsami.

— Jaki podobny! — wymówiła do siebie.

Posłyszała szmer, obejrzała się, koło stalug stał teraz Stalewski i normalną korbą wysokość umieszczenia płótna. Podmalowana jakaś słodka główka rozpościerała się wśród zielonawego tła. Był to portret córki jednego z kupców miejskich. Dziewczyna w rzeczywistości miała wygląd porcelanowej lalki, na płótnie wyraz ten potęgował się i dochodził do zenitu oglupienia.

Stalewski zmrużył oczy i patrzył długą chwilę na rozpoczęte dzieło.

Było to piąte z rzędu dziecko kupca, który miał pieniądze i puste ściany w świeżo urządzanym salonie. Portrety były zamówione *en masse* za cenę tysiąca dwustu guldenów. Pastele, łatwe, nie wymagające zbytniego wykończenia, ze względu na eteryczność modeli. Ramy należały do kupca.

Stalewski zdawał się być pogrążonym w głębokiej zadumie. Patrzył na pastel, jakby w tem zbiorowisku pewnych form i barw skoncentrował się dla niego cały świat w danej chwili.

Tymczasem Anka patrzyła znów na Stalewskiego i nie mogła oprzeć się temu uczuciu podziwu dla jego niepospolitej piękności, jakiego zwykle na widok malarza doznawała.

Był to podziw, a zarazem i jakiś smutek, że tak uduchowiona postać obraca się w tak ciasnym kole rzeczy widzianych, tych, które dla niego już świat cały stanowiły.

On poczul ten wzrok i zwrócił ku niej swą piękną twarz szlachetnie starzejącego się mężczyzny. Chwilę milczeli oboje, wreszcie Stalewski przemówił pierwszy:

— Więc stanowczo nie chcesz pani rysować z natury?

Anka oparła się o rzeźbiony, bretoński bufet, z którego splywały sztandary stare, haftowane złotem i buńczuki.

— Tak — odparła prosto i jasno — nie chcę rysować z natury. Do czego namie to doprowadzić może?

I z nagłym jakimś okrucieństwem, jakby zażyczyła go z oczu Narcyza i ust młodzieńca o twarzy ascety:

— Może do... tego?

Ruchem niedbalym, pogardy pełnym, ukazała słodką główkę córki kupca, uśmiechniętą w pełnym świetle letniego popołudnia.

Stalewski, przyzwyczajony do „zuchwalstwa“ dziewczyny, doznał jednak niezwykle przykrego uczucia.

W głosie Anki wyczuł jeszcze większą wzgardę i szyderstwo, niż zwykle.

Piąte dziecko kupca widocznie musiało przeżyć goryczą i lekceważeniem duszę Anki.

— Choćby do... tego! — odparł z pewną dumą, której czuł śmieszność — i to ma w sztuce pewne znaczenie!

— Ach!... — zawołała Anka — w sztuce... pan mówi o sztuce?... o jakiej?... gdzie ona ma u pana siedlisko?...

Stała ciągle oparta o ciemną ścianę bufetu, biała i wiotka. Zdawała się nie być złożoną z kości i ciała. Wypelniała sobą jakąś próżnię, lecz nie zajmowała przestrzeni.

Stalewski patrzył na nią oczyma malarza i tą pięknocią swoją rozbijała go. Podziwiał w niej głównie zuchwałą czerni włosów, brwi i oczu, i zachwycał się jej piękną głową i spojrzeniem gazelli. Wolalby linie korpusu piękniejsze, doskonalsze, bar-

dziej „ludzkie“, mniej niktące i dlatego wzrokiem swoim pieścił jej głowę, rad, że widzi coś niezwykłego w galerii typów, jakie miał przed sobą codziennie. Widział jednak tylko piękne zarysy, długość rzęs, aksamit oczu, doskonały wykrój cienkich nozdrzy. Zatrzymywał się na tym punkcie, niezdolny dalej wyczuć tego drugiego piękna, jakie całym prądem od tej dziewczyny biło.

— Gdzie moja sztuka ma siedlisko? — powtórzył rozbawiony — ależ wszędzie, gdzie jest Piękno.

Długi, ironiczny, cichy śmiech przerwał mu słowa. Anka śmiała się, śmiała prawie spazmatycznie.

— Więc i *to* jest Piękno? — zawołała wreszcie, wskazując na pastel porcelanowego dziecka o paciorkowatych oczach. I *to* jest Piękno?...

Stalewskiego śmiech ten zmieszał troszkę. Przyzwyczajony był do żwawej dyskusji, ostrej wymiany słów, lecz Anka nigdy nie wysmażała go takim śmiechem, pełnym ironii i szyderstwa.

W jednej chwili przed jego oczami przesunęło się to „uznanie“, to uwielbienie, jakim otaczano go dokoła. Doszedł wreszcie do zajęcia stanowiska pierwszorzędnego, idąc przebojem, lecz doszedł nareszcie. Z szacunkiem wśród sfer burżuazyjno-artystycznych wymieniano jego nazwisko. Dzienniki pisały o nim: „nasz znakomity artysta...“ Ten korowód „uznań“, jak błyskawica, przesunął się przed nim, po za nim czuł coś, co go potężną dłońią zdławiło za gardło, lecz myśleć o tem nie chciał...

Zagryzł usta aż do krwi i spojrział prawie z nienawiścią na śmiejącą się Ankę.

Wydała mu się brzydka, przypomniwała mu gada, który zatruł nagle swym oddechem jego atmosferę przejrzystą.

— Każdy ma odrębny punkt widzenia Piękna... — wyrzekł powoli.

Anka przerwała mu gwałtownie, zrywając się z miejsca.

— Fotografia fajansowej lalki! — zawołała, wskazując na pastel.

— Trzymałem się modelu...

— Trzymałeś się pan ciała modelu...

Rzuciła się do drzwi, jakby chcąc uniknąć dalszej dyskusji, która ją wyczerpywała.

— Duszę pochwyć! duszę pochwyć! — zawołała od progu.

W ciężkich faldach zielonej draperyi wionęły muśliny i dziewczyna znikła.

Stalewski pozostał jak martwy i chwilę długą patrzył na drzwi, po za któremi znikła Anka.

— Duszę pochwyć!... — wymówił wreszcie, zwracając się do portretu.

Przyglądał się długo naszkicowanej główce. Dziewczynka była rażąco podobna, spokojna, z ustami zaciśniętymi, tak, jak siedziała rano przed nim w swej białej, dekolowanej sukience.

Całość zapowiadała się delikatnie i powiewnie. Chcąc dać pewną „nowość“, postanowił Stalewski przeciągnąć dołem obrazu gałązkę świeżo rozkwitłej jabłoni, z po za której miała wyglądać twarz dziewczynki. Lecz rodzice się nie zgodzili, prosząc, aby portrety ich dzieci były takie, jak u „wszystkich ludzi“, to jest dobrze osadzone, *en face*, i bez żadnych ekscentryczności. Stalewski zrezygnował z gałęzi jabłoni i teraz żałował.

Kto wie, może Anka byłaby się zadowoliliła taką nowością i nie obrzuciła go tak pogardliwą ironią.

Nie czuł się w wenie i nie mógł pracować. Położył się na sofie i zapalił papierosa. Zadowolnionem okiem ogarnął swą pracownię, z której był tak bardzo dumny.

— To wszystko moja praca!—pomyślał z wielką dumą.

Każdy sprzęt, każdy mebel, przypominały mu jakieś dzieło, jakiś rysunek, jakiś szkic, sprzedany korzystnie. Wiele także było tu i prezentów, wiele rzeczy, zamienionych za obrazy, przywiezionych z wycieczek po kraju i zagranicą. Całe życie Stalewskiego niemal było tu reprezentowane alegorycznie, zaczawszy od skromnych gipsowych modeli rąk, piersi, nóg, nabytych w Monachium, do ostatniej akwizycji „Nagiej kobiety“, głośnego studium Seurata, zawieszzonego na tle kwadratu sinawego sukna na najwidoczniejszym miejscu pracowni.

Willa, w której te skarby pomieścił, zaczynała także należeć do niego. Kupił ją na splaty, i dzięki wielkiej pokupności swych prac, nie zaległ nigdy z ratami. Lipcową ratę miały zapłacić portrety dzieci kupca. Następną—złożyć miały portrety żony i córki pewnego bogatego lekarza, a w części obraz, zamówiony do kościoła Panien Benedyktynek i przedstawiający świętą Cecylię.

— Żonę doktora zrobię à la Carolus Durand—myślał Stalewski—popiszę się malowaniem rubinowego aksamitu i niebieskich lisów, natomiast dziewczynę utrzymam w tonie Velasquezowskich infantek... Po świętej Cecylii, którą machnę w plain airze z żony, zabiorę się do jakiej literackiej maszyny, którą trzeba będzie zareklamować i wystawić może sposobem dyoramycznym. To popłaca...

Spokojnie patrzył w przyszłość, bez troski o ten literacki temat.

— Żona mi go wynajdzie — pomyślał z uśmiechem.

Równocześnie przeniósł wzrok na portret tej „żony“, który stał na ładnych, zielonych stalugach, opięty miękką, kaukazką materyą.

— Poczciwa...—pomyślał—patrzac na olbrzymi pastel, szklący się taflą szklaną i przerażający robotą *correct* skończonego wirtuoza.

Stalewska zdawała się na tym portrecie być odbiciem córki kupca. Ta sama porcelanowa gładkość twarzy, usta zaciśnięte, paciorki oczu, wpałtrzonych w przestrzeń. Pięknie ubrana, siedziała na fotelu, trzymając w obnażonych rękach wachlarz z piór, mistrzowsko wykończony. Ten wachlarz uderzał przede wszystkim w oczy. Odbijał prześlicznie od złotawej gazy, jaką suknia była przystrojona. Więził uwagę widza i spychał twarz modelu na plan drugi.

Niemniej Stalewska była nadzwyczaj zadowolona z tego portretu. Pokazując go odwiedzającym pracownię, nie omieszkała nigdy powiedzieć:

— Patrzcie państwo na ten wachlarz!... co za mistrzostwo w robocie tych piór!...

Chórem zachwytu odpowiadali jej interpelowani.

Stalewski patrzył w tej chwili na portret żony i z nalogu widział tylko ów słynny wachlarz. Do niego więc raczej zwrócił swą apostrofę: „poczciwa!“ Z wachlarza wzrok jego pobiegł na twarz portretu i nagle szarpnęło nim coś dziwnego:

— Fotografia fajansowej lalki!

Zerwał się i usiadł na sofie, jakby odurzony. Więcej portretów zalegało wysokie ściany pracowni. Chciał spojrzeć im w oczy, lecz zdjęła go jakaś niepewność. Położył się nanowo, podkładając ręce pod głowę.

— Duszę pochwycić!

Zaszemrało to, jakby jakiś wielki motyl przyczaił się gdzieś w fałdach gobelinu.

— Duszę pochwycić!

Ramionami wrzucił. Mrzonki dobre dla tych.

którzy blakają się w abstrakcyach i nowych dróg szukają.

On znalazł swą ścieżkę i postanowił iść nią do końca. Ażeby nie wpaść w manierę, będzie się opierał na uznanych mistrzach.

Do świętej Cecylii za wzór posłuży mu Bouguereau.

— Pomieszam trochę z Puvis de Chavannem, aby zrobić ustępstwo. Trzeba jednak ostrożnie. Kler ma swoje pojęcia, od których odstąpić nie chce, a żona ma słusność, należy oszczędzać i pielęgnować znajomość...

Świat cały zaczął powoli splywać w jego wyobraźni do tego małego, ciasnego koła jego zewnętrznych potrzeb i pragnień. Kraty, opasujące ogródek, oddziaływały go od tego, czego pojąć nie chciał i nie pragnął.

— Dziwaczka! — pomyślał o Ance, spoglądając na ślicznie belkowany sufit pracowni.

Słyszał nad sobą jej kroki, choć lekkie i ciche. Leczący, przenerwowany, mimo swej wiedzy, miał słuch doskonały. Anka chodziła niespokojnie na swoim piąterku, to znów przystawała — i wszystko cichło.

— Maluje — pomyślał, uśmiechając się lekko.

Pomimo jej charakteru, którego pojąć nie mógł, i który często obrzucał go świszczącą różgą sarkazmu, nie żałował, iż przyjął do swego domu tę dziewczynę, tak nieszcześliwą i osamotnioną.

Córka „rozpolitykowanego“ ojca, tego Adama Zagrodzkiego, wieczystego kandydata, jak go nazywano, bez matki, obdarzona temperamentem, wyobraźnią, tułała się ciągle pomiędzy dworem ojca i klasztorem, gdzie ją dorywczo wychowywano. Zagrodzki, szkolny kolega Stalewskiego, nie wiedział, co począć z tą dziewczyną, wiecznie jakby ironiczną i patrzącą tragicznie na jego polityczne nadzieje. Budzący się talent malarski był pretekstem wysła-

nia Anki do miasta. Nawinęła się Stalewska, wiecznie uprzejma, uśmiechnięta, wężąca w Zagrodzkim udany może wreszcie mandat. Zaofiarowała gościnnosc i opiekę Ance. Oddano jej do rozporządzenia pokoik „na górze“, nad pracownią. Od czterech miesięcy dziewczyna tam gospodarowała, schodząc dla formy na „wspólne lekcye.“ Co tam robiła na tem piąterku, z którego okno wychodziło na rzekę i na jej brzegi, Stalewski nie wiedział. Zapytywana, mówiła krótko: „maluję.“ Potem dodawała: „czytam, uczę się, myślę... wnikam w siebie...“

Czasem dnie całe siedziała w swym pokoiku i tylko od czasu do czasu słyhać było jej lekki, delikatny chód, posuwisty i gładki. Nie malowała wtedy, nie mówiła prawie z nikim. Siedziała nieruchoma u okna, lub leżała z przymkniętymi oczyma. Nagabywana raz przez Stalewską, aby zeszła „do świata“, odpowiedziała:

— Ja właśnie stwarzam... swój świat.

Stalewskiemu przyszły teraz na myśl te słowa, które mu żona ze śmiechem powtórzyła:

— Jej świat się dopiero stwarza, mój jest już stworzony — pomyślał z pobłażliwością.

Niebo zachmurzało się stopniowo i powietrze stawało się duszne i ciężkie. Przez otwarte okno pracowni wpadł wicher i zaszumiał, jakby szyszając z czegoś niewidzialnego.

— Mój świat... — myślał Stalewski — niewielki on, ale solidny i na trwałej zbudowany podstawie. Uznanie, dobrobyt, wreszcie zadowolenie z wypełnionego w życiu zadania...

— Duszę pochwyć!... duszę pochwyć!... — zaszumiało w tonach wichru.

— Burza nadciąga? — pomyślał Stalewski z niechęcią — nie cierpię burzy, wyprowadza mnie z równowagi, poniszczy kwiaty...

Wstał i zamknął szczerlnie okno pracowni. Gdy to czynił, przyszło mu na myśl, iż Anka z pewnością nie zamknie swego okna, jakby czekając na przybycie piorunu.

— Młoda jeszcze...—pomyślał—szarpie się, nie mając za dużo siły... Życie ją uchodzi. Zrozumie, że nie w burzach, nie w światach, stwarzanych ze złud i abstrakcyi, prawda i moc...

Powrócił na sofę i ułożył się wygodnie, biorąc pod głowę poduszki aksamitne, szyte jedwabiami, lśniące i barwne, jak rajskie ptaki.

— Niech huczą pioruny! — zakonkludował z uśmiechem—ja muszę się wyspać, dziś bankiet w naszym klubie—iść muszę!

Deszcz zaczął bić o szyby pracowni, on leżał nieruchomy, rozleniwiony cały, błąkając się po wygodnym ogródku swych myśli, w którym grządkki i klombiki zdań i pojęć były tak czysto i uporządkowane, jak pastele w jego pudełkach, jak jego pędzle, palety, węgle, ściereczki, tuby, flaszeczki z terpentyną, z olejem, z werniksem, z sikatywą—jak ten ogródek na dole, w którym bila fontanna, obramowana wieńcem niezapominajek.

A deszcz siekł coraz silniej o szyby, bił ukosnymi strugami, które sływały na liście winogrodu i powoje, na płomienne nasturcy i aksamitne bratki.

Stalewskiemu w szumie tej ulewy zdawało się, że słyszy monotonnie powtarzane jedno i te same słowa:

— Duszę pochwyć!... Duszę pochwyć!...

Zatulił się z twarzą w poduszki, aby przerwać tę halucynację, która go dręczyć zaczynała:

— Duszę pochwyć!... Duszę pochwyć!...

Miał jeszcze siłę, aby uśmiechnąć się pobłażliwie i z wysiłkiem wyszeptać:

— O, to, to... właśnie...

Zapadł głową głębiej w poduszki.
Zasnął.

III.

Tymczasem na pięterku, w świecie, wytworzonym przez siebie, poruszała się i żyła Anka.

Pokoik, który zajmowała, nie miał w sobie nic z tego, co ludzie nazywają komfortem.

Wprawdzie Stalewska ustawiła tu białe łóżko, szafę, umywalnię—słowem, całe białe, prawdziwie dziewicze umeblowanie, lecz Anka, o ile możliwości, pousuwała te meble, przyozdobione motylami i kwiatami, nazywając je „wiedeńską tandetą“.

Dużo światła i jak najwięcej miejsca, aby nie tamować sobie swobody ruchów, były głównym warunkiem, jaki Anka wprowadziła do swego *home*.

I bila z tej świeżości pustych ścian, z tego okna, nie przyćmionego niczem, z tych białych, sosnowych zydl i stołów wielka prostota, świadcząca o równej linii charakteru osoby, pokój ten zamieszkujej.

Inny tu był „świat“, niż ten na dole, szerszy w pojęciu, o skrzydłach rozwiniętych bez zacieśnionych granic. Był on skoncentrowany, a mimo to zdawał się w każdej chwili mózdz rozplynać się w przestrzeni i przeniknąć wielkie horyzonty. Czulo się to w tej chwili, gdy weszło się w tę prostotę i pozostało się w niej chwilę w ciszy słodkiej i skupieniu. W tej ciszy pulsowało życie i ruch, który w tem kole drgał z taką mocą i siłą, jakby sfera,

tem kolem objęta, rozplywała się w nieskończoności...

Młoda była istota, która ten „świat“ stworzyła, lecz już można było powiedzieć o niej rzeczy pewne i stałe. Czuć można było, iż ona to wszystko, co nabywa przez umysł, przelewa w swoją duszę, i że to właśnie ta dusza tak buja, wytwarzając prostą i świetlaną atmosferę. Żadnej drobiazgowości nie spotykało się tu rozpanoszonej i wyciągniętej ze czcią na plan pierwszy. Piękność moralna była tu główną władczynią, a dziewczyna, odziana białą, zdawała się być drogocennym opalem, przez który ta piękność w snopach światła na zewnątrz spływała.

W tej atmosferze świetlanej na pozór zdawało się, iż nie było miejsca na odczucie smutku, melancholii lub cierpienia. Młode dziewczę, wchodzące w życie, poruszające się z taką prostą swobodą w regionach uduchowionej sztuki, nie знаło, zda się, czem jest sznurek lez, nizanych jak perły, podczas bezsennych nocy.

Tymczasem rzeczą miała się przeciwnie.

W tym szeroko roztoczonym kręgu, w którym obracała się dusza dziewczyny, kwitły całe klomby żalobnych irysów, jej własnych smutków i cierpień, które od innych odbierała na wyciągnięte swe dłonie, jak anioły zbierają lzy na skrzydła swe, złożone w krzyż i wyciągnięte ku płaczącej ludzkości.

Pierwszą troską Anki, gdy zbliżył się ktoś do niej i wkraczał w sferę jej światła, była cicha myśl: „z jakich bólów twoja dusza wyrosła, z czego się składa godzina twego smutku, czy lzy twoje mają barwę Piękna, przez które przeszedłeś“? I obojętne jej było, kim jest ta istota, jaki szczebel społeczny zajmuje w hierarchii ludzkości. Nie badała nigdy ludzkiego uśmiechu, milcząc, zdawała się czekać na godzinę omdlenia i słabości, w czasie której dusza

pozbywa się nabytych przez konwenanse osłon. Czasowo wystarczał jej jeden błysk, jedna chwila, jedna zmiana wyrazu twarzy przy pewnych słowach, lub pod jakimś, dla niej zrozumiałym, wrażeniem. Odtwarzała sobie z tego stopień rozwoju w cierpieniu osoby, którą studiowała. Mierzyła siłą jej tragedyi siłę swych przeżyć i tego, co w niej, pod wpływem tragizmu, rozwinęło się na korzyść smutnych zadum jej serca.

Tak badała Anka osobne, żyjące istoty, lecz była ona także tą wrażliwą i szczęśliwie obdarowaną duszą, która potrafi wyczuć duszę rzeczy martwych z pozoru, rzeczy, które nieruchome są świadkami całych przeżyć, często śmiertelnych, całych wirów, w których zastygają z bólu dusze żyjących.

Anka tak wytwornie, jak nikt inny, umiała czytać pamiętniki domowe ze ścian, miniatur, drobiazgow, poukładanych na serwantkach, sprzączek, kryjących się w półcieniu niewielkich pokoi na piętarkach starych dworców.

Umiała także Anka iść wśród wzniosłych a zczerniałych gmachów, iść w komunii i zetknięciu z tem, co te gmachy przetrwały i przeniosły, ile żaloby, jak mauzolea olbrzymich cmentarzy, kryły w sobie. I gdy tak Anka szła pomiędzy niemi, doznawała aż uczucia wielkiego zmęczenia, tak cisnęły się ku niej niewidzialne tłumy faktów, wykwitających jak płomieniste kwiaty z wiekowych przyczyn. I wtedy ogarniał ją lęk, czy rzeczywiście świat zewnętrzny jest podległy jedynie straszniemu fatum, czarnemu, chmurnemu przeznaczeniu. Te gmachy, wznoszone przed wiekami, miały służyć za tragiczną dekorację spełnić się mającemu faktowi. Gdyby jednak tych murów nie wzniesiono, fakt ów doniosły, którego widmo uczuwała z taką udręką jej dusza, nie spełniłby się w taki sposób, a może... może... nie spełniłby się wcale.

W ślad za ogarnianiem i wnikaniem w duszę ludzi pojedynczych, w duszę rzeczy martwych—potrafiła Anka wnikać także i w duszę tłumu. Ogarniała ją cała, nie krusząc na drobiazgi. Raczej wcielała w nią pojedyncze jednostki, które od jej tła odskakiwały, i ułatwiała sobie odczuciem całej masy pojęcie niektórych, zbyt zawitych dla niej tajemnic duszy ludzkiej.

Urodzona na wsi galicyjskiej, wśród nędzy chat, przepojonych wyziewami wódki, przekleństw i tyfusu, stojąc na ganku pałacyku ojcowskiego, melancholią uczciwą i uzasadnioną ogarniała długie pasmo chat, poznaczonych ciemnymi gałęziami drzew. Na tych chłopskich duszach Anka nauczyła się pierwszego odgadywania tajemnic życia niewidzialnego. Im twardszą była skorupa rozjarmarczonego chłopca, tem usilniej pragnęła Anka dociec, w jakiej chwili ta czarna na pozór dusza otwiera się, jak szczerlnie zamknięty kwiat, i przepuszcza wewnątrz promienie. Dla niej te chwile, przeżyte u boku ojca, oszalałego na punkcie zdobycia przedewszystkiem marszałka rady powiatowej, a potem utrzymania tegoż stanowiska, były szkołą przygotowawczą, w której rozwinęła się cała subtelna delikatność i wrażliwość jej duszy.

Anka doszła do punktu owego wyczulenia duchowego przez to, że rozpoczęła od najcięższej, najbardziej tajemniczej i najmniej podatnej do analizy, duszy ludzkiej. Jest nią dusza chłopca naszego, na pozór naiwna, prymitywna i skąpana w słońcu, w gruncie rzeczy twarda, jak granit, i nie przepuszczająca na zewnątrz nic z wewnętrznego swego świata. Często Anka zachodziła do chałup, gdzie pod nieobecność jarmarkową gospodarza wila się w bólach dysenterji, widmowej postaci chłopka. Trochę zimnych kartofli na misce i, jako lekarstwo, zlewki piwa w brudnej butelce.

Anka, na rozpalonym naprędcie ogniu gotowała herbatę, i stojąc przy kominie, obejmowała wzrokiem ten świat nędzy, tak wielkiej, że już w niej nie było miejsca nawet na drobiazgi. Ze słów obolałej kobiety, o widmowych oczach, z jej pochylenia głowy, z jej bielmem zasnutych źrenic, z drgnienia rąk, z myśli niedokończonych, która zdawała się zawisać u sufitu chaty, Anka pragnęła przeczytać w tej duszy mądrość zgodzenia się na los, lub bunt utajony i jakby porywy ku lepszej egzystencji.

Oparta o krawędź łóżka, Anka całą siłą woli pragnęła rozwiązać pytanie, jakie ją dręczyło. Czy ta istota, o życiu zewnętrznym, tak nędznym, iż zdawało się być zebrane z najfatalniejszych zakątków ludzkiej egzystencji—czy ta kobieta-kościotrup, konająca w chacie, nad którą wisiała katastrofa zaległych podatków, ma poczucie życia własnego, życia wewnętrznego, do którego zwraca się jej dusza w chwilach ciszy, samotności i spokoju?

I czasem Anka znajdowała najniespodziewaniej odpowiedź nagłą i tak jasną, że aż ją przerażała. Poruszona struna wspomnień lat dziecięcych, dzwonek kościelny—cokolwiek rozjaśniało błyskiem twarz kościotrupa.

— Ach! tak!... tak!... było... było...

I potem nic, milczenie, wniknięcie w siebie, wpatwienie się w świat własny, wejście w krąg świetlany z ciemni i ponurego majaczenia...

Na tej duszy chłopskiej nauczyła się Anka abecadła wewnętrznego życia. Przyszła już na świat inna, odrębna, w niczem niepodobna do całej teorii młodych dziewcząt, zaludniających nasz kraj niepotrzebną gromadką gdczących istot. W wyniosłej piękności swojej, w spojrzeniu z pod czarnych, przymkniętych rzęs, Anka była jedyną i piękną. Ta wielka jej Piękność, to jej bogactwo miłości ogólnej, miłości dla tajemniczej strony życia, nadawało

jej gestom i czynom wielką mistyczną przewagę. Gdy szła, gdy się poruszała, jakby w obłoku siły swej przenikającej, mimowoli dusza innych wybiegała ku niej, jakby na spotkanie kogoś, pełnego laskawej i dobrej przyjaźni.

Anka wychodziła z tego punktu, iż niema rzeczy nieinteresujących na świecie. Odrzucała zewnętrzność, jako lupinę, i dobierała się do wnętrza życia. Dla niej społeczne fermenty i ruchy miały tak wielką wagę, jak gest przeciętnego człowieka o szarej powierzchowności, gest znużenia lub buntu.

W ten sposób przeprowadzone życie Anki miało dla niej cenność przepysznego klejnotu, który oświećlała ze stron wszystkich, sama jeszcze nie wiedząc, co począc zdola z tem bogactwem wywoływanych przez siebie wrażeń. Pragnienie utwalenia niektórych, chęć nadania jakiejś formy odkrywanym przez nią światom, wywołała w niej talent malarski niepowszedni i zupełnie wyłamujący się z pod form wszelkich.

Malarstwo olejne napelniało ją wstętem, akwarella, pastel wydały się jej mdłe i bezbarwne. Droga poszukiwań i przez kilku artystów, którzy bawili jakiś czas za granicą, zapragnęła malować klejowo. Prymitywci pociągnęli ją ku sobie. Po długich próbach i mozolach odgadła choć część techniki. Wyzwolona z szablonu, uczuła się szczęśliwą. Mogła w przeciągu kilku godzin wyrzucić ze swej duszy wchłonięte w siebie wrażenia.

Kilka paczek prostych farb sproszkowanych, trochę kleju dla spreparowania płótna, szklaneczki, wypełnione żółtkami jaj—oto był cały przybór pracowniany Anki. Na blejtramy ponabijane płótna, napojone klejem, oczekiwały jej natchnienia. Skończony obraz Anka zdejmowała z blejtramu, zwiwała i chowała szczelnie przed oczyma ludzi.

— To dla mnie!—mówiła—i to mi wystarcza.

Stos tych zamalowanych płócien rósł, rósł—były to „dokumenty“, jak je nazywała Anka.

Często nad wieczorem rozwijała ów stos i wpatrywała się w swe dzieło. Zdawało się jej wtedy, że przeżywa chwilę tworzenia, tak wielką była siła chwili, gdy wizya, czerpaną z duszy, to płótno wypełniała. Często oczy jej rozjaśniały się blaskiem tryumfu, było to wtedy, gdy dotarła do wnętrza jakiejś tajemnicy i uwięzła swe odkrycia w kilku śmiałych liniach i barwach. Harmonią barw wyrażała stany dusz i nastroje. Były to nadzwyczaj szczęśliwie obmyślane połączenia. Łagodność lub brutalność tonów zasadniczych obrazu ilustrowała wewnętrzną świat przedstawionej rzeczy.

Anka tłómaczyła się... barwami.

IV.

Z nerwowym niepokojem, gdy wpadła z dołu od Stalewskiego, rzuciła się Anka na pędzle i płótno, rozpięte i przygotowane na stalugach. Widok owych „porcelanowych“ główek na tle gobelinów pana „profesora“ porwał jej literackie nerwy. Całe oczy i duszę miała pełną wizyi Maryski takiej, jaką ona ją odczuła i zrozumiała—Maryski tajemniczej, zamkniętej w sobie, ze sinksowym uśmiechem, na pół smutnym, Maryski, uosabiającej podmiejski lud, niby oświecony, niby jeszcze smutniej przyémiony tą cywilizacją, która ścieki tego, co w niej najbrudniejsze, posyłała przez łąki i pola ku chatom, błękitno malowanym, okolonym purpurą mchów i różami malw poszystych.

Anka porwała węgiel i rzuciła się do płótna. Twarz jej pobladła, oczy z pod czarnych rzęs zapłonęły wewnętrznym blaskiem. I w tym małym pokoiku, pod osłoną czarnych, nadciągających chmur, zaczęło się wspaniałe dzieło odtwarzania duszy, którą inna, bardziej wrażliwa dusza, wchłonęła niejako w siebie.

Anka w tej chwili zdawała się być pryzmatem, przez który przechodził duch Maryski i rozsypywał się na widome części. Postać wiejskiej modelki występowała z płótna, rysowana z brawurą w ruchu śmiałym. Maryska siedziała na trawie z kolanami złożonymi, ze stopami dziwnie wygiętymi. Cała jej postać, pochylona naprzód, wskazywała połączenie apaty z wyczekiwaniem. Profil ciekawy zarysowywał się w przestrzeni. Marysia patrzyła uparcie w jakiś punkt, jakby ztamtąd miała się dla niej objawić rzecz jakaś cudowna. Prędko, z szybkością błyskawiczną, Anka zaczęła wypełniać kontury farbą.

Maryska miała być przedstawiona w harmonii fioletowo-zielonej. Gorąca, oranżowa farba miała zaplonać tu i owdzie. Ten fiolet wyrażał wrażenie pewnego bezwiednego majestatu, zieleń miała w sobie coś z niedopowiedzianych pragnień, gorąca barwa oranżowa—to rozjaśniona i wysłoneczniona żywiołowa siła.

W pozie prawie zwierzęcej, tonąc bosą nogą i ręką czerniałą w wielkich grudach ziemi, wyjęzonym w stronę „niewidzialnego“, była ta chłopka dziewa nie allegorią podmiejskiego ludu, który przykuty duchem do roli, rwie się spojrzeniem ku miastom, lecz była to raczej synteza całej istoty Maryski, całej jej duszy, którą Anka otuliła swą myślą i formę jej uniosła z sobą w swej duszy.

Najdziwniejsze jednak było to, co otaczało Maryskę—ta jakaś atmosfera astralna, którą Anka dokonała za pomocą trzech barw, stopniując ich siłę.

Dokola Maryski, promieniując z jej ciała, z jej istoty, wznosiła się jakby druga forma dziewczyny, gorąco złota, słoneczna, ciepła. Żar, wchłonięty w słoneczne południe przez to młode ciało, zdawał się promieniować i obwodzić kontury złotą linią, przechodzącą w oranżowe blaski. Była to właśnie ta żywiołowa siła czcicieli „słonka“, skąpanych w ożywczem świetle i ciepłe, tak bardzo silna, iż wypromieniować mogła na zewnątrz całe masy, bez ujmę dla istoty, z siebie ten blask wydające.

Lecz po za oranżową linią rozpoczynała się atmosfera druga—łagodnego seledynu. I był to dziwny, porywający kontrast tego prawie rozmarzonego, niepewnego, prawie księżycowego blasku, z graniczącą i wnিকającą w niego zuchwałym blaskiem słoneczną jasnością. Ta niepewność, ten wdzięk, przytem ta nadzieja, niejako rozwiewająca się w mgłę, włączając się o nocach księżycowych po zieleni łąk, przywodziły wrażenie poezji i tęsknicy, stanowiącej niejako jądro duszy Maryski. Pozbierała ona ten blask, który łagodził i otulał złoto żywiołowej siły—ponockach nieprzespanych, kiedy to coś ją gna z chałupy bosą i nawpół odzianą. Wyjdzie od ojcowskiego sadu, w którym śpią ciche jabłonie i grusze, i stanie koło płota, a patrzy na łan zboża, co, jak staw, bez ruchu w świetle księżycy się mieni. Coś ją ścisną pod sercem, tęsknica wielka, niby tak silna, jak ta moc, która ją o południu słonecznym w krwawej powodzi maków do śpiewania na całe gardło zmusza. I wtedy Maryska czuje, że ta „słoneczna“, to nie ona cała, bo ta „księżycowa“ ją dopelnia. I wtedy z tych dwóch powstaje jedna, pełna, dziwna, skomplikowana istota. Dniem pełna żaru i siły, nocką na poły tęskna, na poły nadziei żądna—dusza ludu

Lecz seledyn roztęsknionej i wyczekującej zmienia się w fiolet, z początku majestatyczny, następnie

ciemny, niemal tragicznie zamknięty w sobie. To jest ostatnia zasłona, która na zewnątrz duszę Maryśki otacza. Na pozór ciemna, czarna, nie interesująca, następnie przy zbliżeniu okazująca wiele nieufnego majestatu i prawie odpornej ironii, po to, aby rozplynać się w nadziei i tęsknocie, przeciętej blaskiem żywiołowej siły.

Wszystko to nie „allegoryą“, lecz symbolem, lecz mową barw i linii wyrażało dzieło Anki.

Dziewczyna malowała szybko, nie zatrzymując się, działając pod wpływem natchnienia, rozpierającego jej piersi. Zdawało się jej, że ktoś z zewnątrz prowadzi jej rękę. Intuicyą odgadywała to, czego jeszcze nie umiała. Uczyla się niewiele, a z tego niewiele wyciągała esencję, wybierając to, co jej konieczne było.

Sciemniło się, burza nadciągała, gnąc drzewka przydrożne, szarpiąc galarami, stojącymi u brzegu rzeki.

W oddali, na łąkach, porykiwało bydło, jakiś pies zaczął wyc przeciagle.

Zagrzmiało gwałtownie, i Anka, nagle zbudzona ze swej pracy, rzuciła się do okna.

Pchnęła okno na rozścież i wystawiła po za ramę ręce, spalone od gorączki. Kilka kropli deszczu upadło na nie, ręce piły gwałtownie te krople, jak kwiaty piją deszcz po kilkudniowej suszy.

Anka, ochłodziwszy się, powróciła do swego obrazu.

Malowała płasko, sposobem dekoracyjnym, prawie bez cieni, a mimo to, z ogromną plastyką. W ten sposób skupiała swe natchnienie w jednym rzucie, nie stając się ani na chwilę rzemieślnikiem.

Zanim burza minęła i roztoczył się splókany świeżością ulewy zachód słońca, Sflinks-Marysia, z zanurzonemi stopami w olbrzymie skiby ziemi, w swej potrójnej osłonie astralnej, niepokoiła syntezą swej

istoty, tak na pozór prostej, a tak skomplikowanej i tak trudnej do przejrzenia, jak otchłań bezdenna.

Przed nią wyczerpana, zamysłona siedziała Anka.

Badala siebie teraz, czy wszystko, co zdołała wchłonąć w siebie z duszy Maryśki, uwięziła na tem płótnie. I zwątpienie wraz z tryumfem mieszało się w niej w dziwnie niepokojące, lecz pełne uroku uczucie.

Tak tworząc, Anka była szczęśliwa.

V.

Cicho otworzyły się drzwi pokoju Anki.

— Czy można?—zapytał głos pieśczoney.

Anka zbolalemi oczyma spojrzała ku drzwiom.

— Proszę!...

Zadzwonily breloki, do pokoiku wsunęła się Stalewska.

— Cóż pani tu robi pociemku?

— Malowałam.

— O tej porze? Mąż ma rację: popsuje pani sobie oczy zupełnie.

Anka powstała, wzięła w ramiona obraz i odstawila go ze stalug, obracając do ściany.

Stalewska zagryzła wargi.

— Znów się pani kryje ze swemi arcydzielaniami?.. To nieładnie. Czy nigdy nie nabierze pani do nas zaufania?

Anka miała ochotę wykrzyknąć: „nigdy“, lecz

się powstrzymała. Stała teraz na tle okna, rysując się smukłą, czarną sylwetką.

Po za nią horyzont zbladł, zszarzał zupełnie.

Stalewska obejrzała się dokoła.

— Nie prosi mnie pani siedzieć?

Anka, milcząc, podsunęła Stalewskiej splamione farbami, drewniane krzesło.

— No! *à la guerre comme à la guerre!*...—roześmiała się żona malarza, siadając z pewną afektowaną szczerością na prostym zydłu.

Od chwili wejścia Stalewskiej wytworzyła się pewna atmosfera zaczepno - odporna, coś, co drgało w powietrzu nienawiścią i nieporozumieniem.

Stalewska gardziła Anką, jako „waryatką, marnującą życie“.

Anka gardziła Stalewską, jako istotą bezmyślną, marnującą duszę.

Patrzyły na siebie w tym zmroku wieczornym: Stalewska ironicznie, badawczo — Anka wyniośle i chłodno.

Pierwsza Stalewska spuściła oczy, w których czuć było fałsz i obludę, złagodzoną jakimś interesem.

Odziana w gazowy, różowy szlafrok, z włosami, ufryzowanymi na wzór lalek fryzyerskich, miała w sobie wdzięk hurysy, snującej się po komnatach haremu... Na obnażonych rękach dzwoniły złote koła, pierś, ledwo przykryta gazą, młoda była i kształtna.

Zanadto dobrze ułożona, aby natychmiast wyjawić swą myśl, zainteresowała się przedewszystkiem Anką, proponując jej po raz setny dywan na podłogę. Wiedziała, że jej oferta nie będzie przyjęta, lecz była to forma rozpoczęcia rozmowy i wykazanie pewnej troski o wygodę dziewczęcia.

Następnie z uśmiechem aprobacyjnym nastąpiła pochwała sukienki Anki, wraz z lekką krytyką

jasnego paska. Ta cała drobiazgowość, niewielka, bo zaledwie jej przedsmak, już z szumem niepotrzebnych słów wypełniła wnętrze pokoju. Z nagłym bólem głowy stała Anka, zaciskając poza plecami ręce, nigdy nie zrezygnowana i nie mogąca się przyzwyczaić do sposobu obejścia Stalewskiej.

Z pod swych długich rzęs Anka wpatrzyła się w niebieskie oczy tej kobiety, obramowane sztucznymi przyczernionymi rzęsami. Włosy, wyłoczone Aureoliną, rozdzielone na środku głowy, spadały bufiastą kaskadą na uszy, jak na twarzach boticellowskich dziewic. Rumieńce jasne, jak płatki karmelii, przylegały do białych, jak alabaster, policzków. I wszystko było sztuczne, nienaturalne w tej kobiecie, zaczawszy od jej słów, uśmiechu, gestów, skończywszy na całej powierzchowności, gwałtownie przystosowanej do typu jasnowłosych dziewic, z aureolą nad głową lub palmą w ręku.

Ta kobieta nie miała filozofii czekania na swe przeznaczenie; ona szła na przebój, z wyciągniętymi rękoma, łamiąc lub pieszcząc przeszkody. Była nieokreśloną, miała w sobie żywioł destrukcyjny, lecz z tych ruin wznosiła świątynię wygodną, zaciszną, w którą chroniła siebie i swoich.

Anka, patrząc na nią, zaczęła mimowoli zadawać sobie pytanie: jaką atmosferą astralną otoczyćby należało tę kobietę? I w barwach, któremi sztuka rozporządzała, nie mogła odnaleźć dość fałszywego tonu, który mógłby służyć za tło do tej postaci.

— Pustka, nicość, czerń...—pomyślała.

Tymczasem Stalewska roztaczała przed milczącą dziewczyną całe skarby pozbieranej w kątach życia uprzejmości. Starala się być lekką, dowcipną, przyjemną. Starala się ująć, pochwycić jakąś słabą stronę Anki, która odkryłaby jej drogę do duszy dziewczyny.

Przyzwyczajona do łatwej psychologii przeciętnych ludzi, pewną była, iż prędzej lub później odszuka potrzebne wskazówki, które ją doprowadzą, jeśli nie do zawładnięcia duszą Anki, to przynajmniej do chwilowego obalamucenia i pewnej podległości zamiarom Stalewskiej.

I nagle Anka z powodzi galgankowych kwestyj usłyszała pytanie:

— Dawno pani widziała papę?

W jednej chwili przed duszą Anki stanął „papa“, tragiczna postać, z całą forsą trzymająca się rampy życia.

— Tydzień minął — wyszeptala nagle zmarzniętymi ustami.

— Czy nie mogłaby się pani dziś jeszcze z nim zobaczyć? — spytała dokładnie Stalewska.

— Mogę! — odparła Anka, nie chcąc wchodzić w żadne przedwstępne układy, woląc odrazu pozbyć się uprzejmości i próśb tej kobiety.

— Chodzi o notatkę... o małą notatkę do „Świ-tu“. Parę słów... Papa, gdy zechce, umieści. Natomiast zechce pani zapewnić papę, że...

Lecz Anka przerwała jej szybkim ruchem ręki.

— To sprawy papy, to jego polityka... — wymówiła szybko — ja nic o niej wiedzieć nie chcę. Znadto mnie to wytrąca z równowagi życiowej. Zechce pani mi dać notatkę, a co do ustnego polecenia, to lepiej napisać je przez pocztę...

Stalewska podała jej przygotowaną kartkę.

— Proszę — wymówiła słodko — parę słów za-ledwie. Lecz, panno Anno, pani bardzo źle robi, nienawidząc polityki. W Galicyi żyć inaczej nie można. To stanowi rdzeń życia. Papa twój jest urodzonym politykiem. Ma wszystkie szanse na to, aby zostać... kto wie... ministrem!..

— O!.. — odparła Anka z głuchym przyciszo-

nym jękiem — o!... dlaczego pani tak mówi?... Pani tak nie myśli.

— Ja? ależ przeciwnie. Pan Zagrodzki jest dyplomata, mówcą pierwszej wody...

Anka zimnym, bolesnym uśmiechem przeszyla nawskroś fałszywie uprzejme usta.

— Po co?.. po co?.. — wyrzekła ostro — wszak papa nie słyzy. Jesteśmy tylko same we dwie w pokoju.

Stalewska zrozumiała nader szybko, co znaczyl uśmiech Anki. W gazach swych, z brzękiem bransolet stała i skierowała się ku drzwiom.

Była cała wzburzona i gryzła usta, nie mogąc pohamować nerwów.

Doszedłszy jednak do drzwi, Stalewska zastanowiła się i już ochłodziła. Zdumiewającą była siła, którą ta kobieta powściągała swe nerwy w celach zadowolenia owych drobnostek życiowych.

Już wypogodzoną twarz zwróciła ku Ance.

— A więc... notatka?.. — zapytała.

— Zaniosę! — odparła sucho Anka.

— Przedtem jednak proszę zejść na herbatę. Zaraz podadzą i każę zbudzić męża.

— A! mąż pani śpi?..

— Tak, burza go zawsze usypia... więc do widzenia...

Wyszła, jak smuga różowa, pozostawiając po sobie zapach *white rose*.

Anka, szukając płaszcza i kapelusza, myślała sobie:

— Odaliska haremowa, z wyrazem twarzy świętej dziewicy i sprytem geszefciarza. Co za połączenie!

Zatrzymała się na chwilę i zamyśliła po swojemu.

— Kto wytresował tę duszę? Kto ją nagiął tak, jak leszczynę, że pod wiatr się poddaje, i nawet

chłodną ulewę obelgi z siebie z łatwością strząsa. Zkąd przyszła ta dusza i przez jakie błota życiowe wlokły się jej skrzydła?

Jakieś kroki dały się słyszeć na dole pracowni.

— Obudził się!—pomyślała z odcieniem lito-snej ironii. — On, który z taką skrupulatnością kopiuje „nature“, mógł studyować burzę, łowić ją na gorąco, a w ostateczności — porobić z błyskawic fotograficzne zdjęcia! Roześmiała się i cicho, jak cień, wysunęła się ze swego pokoiku, zamykając drzwi na klucz.

Gdy przechodziła przez przedsionek, drzwi jadalni były uchylone.

Na stole, nakrytym bardzo pięknym, wzorzystym huculskim obrusem, w kryształowym kielichu białiał olbrzymi bukiet z samych polnych rumianków. Filizanki z fajansu węgierskiego, barwne talerzyki, całe malowane, dużo srebra, owoców, liści i światła—czyniły z tego stołu jaskrawy punkt, występujący z całą gwałtownością w otoczeniu ram pogrążonego w cieniu przedsonka. Dokoła stołu kręciła się różowa postać i dzwoniły bransolety, jakby dzwonki pajaca, a dwoje dzieci (porcelanowe lalki o jedwabno-złocistych peruczkach), odziane biało, pożerały biszkopty i piły śmietankę. Z drzwi przyległego salonu wyszedł Stalewski, zaspany, mrużący oczy przed blaskiem lampy, i zajął swe zwykle miejsce przy stole.

Chwilkę oparł czoło na rękę i Ance zdawało się, że jakaś wielka troska, jakaś myśl bolesna nurtuje go całego.

Była to chwila przelotna, bo nadzwyczaj szybko ręka Stalewskiego opadła, twarz rozpogodziła się bezmyślnym uśmiechem, i malarz, pochylony nad filizanką węgierską, z łakomstwem głodnego a dbającego o swe potrzeby człowieka, zapijał smacznie

herbatę, pogryzając ją kawałkiem babki, którą starannie przedtem posypał cukrem z wanilią.

Anka przelotnie objęła wzrokiem ten obraz domowej ciszy, spokoju i ładu, tego „uporządkowanego“ artyzmu, i wysuwała się do ogródka.

Po deszczu rozkwitły się kwiaty pełnią całą i woń czarująca wypełniła ogródek. Anka, przechodząc, schyliła się, zerwała kilka narcyzów i wyszła na gościniec. Od willi Stalewskiego, z okien pracowni, z jadalni, były jasne smugi światła.

Stalewska nie kazała zapuszczać rolet, popisując się wewnętrzną elegancją swego domu, która tylko przy wieczornem oświetleniu mogła na jaw wystąpić!

I Anka, przechodząc wzdłuż krat, ujrzała ten obraz doskonale urządzony na pokaz, tę reklamę życia rodzinnego uznanego artysty, mistrza, króla pastelowego, wytwornego ilustratora, znakomitego malarza i t. d., ocenianego tak codziennie przez reporterskie notatki i płaskie krytyki „dzielnych i śmiałych krytyków“.

Obraz ten familijny, udrapowany gobelinami, makatami, obstawiony światłem, srebrem, zastawą jaskrawą, stonowaną złocistymi głowami dzieci i różową gazą szaty Stalewskiej, był miły, wdzięczny i słodki...

Miał w sobie coś z renesansowych *interieur* mistrzów i świadczył o zręczności ręki, która to widowisko reklamowe doskonale aranżowała.

Nawet przez okno pracowni widać było doskonale rozpoczęty pastel córki kupca, która porcelanowymi oczyma patrzeć się zdawała bezmyślnie w głąb uliczną.

Anka mimowoli wzrokiem pobiegła ku *swemu* oknu na pięterku. Ciemne było, szeroko otwarte, tajemnicze, jak wnętrze górskiej pieczary. I tylko tam, w głębi, w tej ciemni, odgadywała Anka, od-

czuwała syntezę duszy Maryski, w aureoli swych trojakiach astralnych ciał. Dziewczyna prawie bezwiednie oparła się o kratę i pochylila głowę. Nigdy wyraźniej różnica tych dwóch światów sztuki nie stała przed jej oczyma!

— Gdzie mądrość życia...—pomyślała na przemijającą chwilę—tu, w uzewnętrznieniu i rozsypaniu się na drobiazgi, jak na rozkruszone dyamenty, czy tam, u mnie, w ciszy, w samotni, w zebraniu, niejako w ślubujące na brak pychy dłonie esencji duchowej z tego, co nas otacza i co jest nami samymi?

Nie było odpowiedzi, lecz Anka na nią nie czekała. Miała ją gotową w swej duszy, jak światło i moc, która ją przez życie prowadziła. Oderwała się od krat i zaczęła schodzić ku miastu. Poznane centkami ogni, mieniło się długą i szeroką wstęgą.

Tam, w tej wstędze, więcej, niż gdziekolwiek, panowała cała zewnętrżność życia. Tam niepodobnym prawie było odłączyć się od codzienności i zacząć patrzeć z uporem w świat niewidzialny, a w tym właśnie świecie dopatrywać się przyczyny istnienia.

— Idę, gdzie największe energie duszy są w ruch wprowadzone dla żadnych, lub nędżnych rezultatów—myślała, idąc wybrzeżem, Anka.

— Idę, gdzie ludzie obwarowują się z całą pamięcią przeciw wielkim katastrofom, nie pamiętając, że najgroźniejszą tragedję noszą w sobie i przeciw tej nie poradzą nigdy.

Powoli, lecz stale zbliżała się do mostu, którego długa linia dzieliła ją od owych drżących, robawionych, czynnych lub wyczekujących światelek.

— Idę tam, gdzie niema wytwornie odosobnionych, gdzie nikt nie pragnie pozostać sam w szczytności swych marzeń, gdzie każdy pędem owej biegnie w gromadę i przywdziewa czaprak szablonu.

A przecież, mimo to wszystko, jakże oni są właśnie samotni, jak nikt z nich nie jest przeniknięty i wyuczony przez pokrewną mu duszę! Nie mają majestatu i nie mają miłosnej wzajemności.. Są sami, pomimo, że potracając się wzajemnie i tratując, starając się zająć lepsze miejsce u biesiadnego stołu. W tej walce gubią właśnie ten swój majestat Piękna, jakie każda istota, każda rzecz istniejąca ma w sobie od początku swego istnienia...

Weszła na most, po którym snuły się sylwetki ludzi, śpieszących ku miastu, lub wracających z niego.

W oddali majaczyła, jak zielona gwiazda, latarnia rogatki.

— Czy zatracają zupełnie?—myślała dalej Anka—zdaje mi się, że tak nie jest. Dość spojrzeć na trupa człowieka, zajętego za życia najdrobniejszymi codziennymi sprawami, które mu przytępiały najzupełniej wdzięk duchowego życia. Jaki spokój w tej twarzy, którą wykrzywiały żądze, ile godności, ile mądrej pobłażliwości i stoicyzmu.

Przed myślami Anki przesunął się cały szereg takich ujranych po kaplicach lub domach trupów, cicho leżących, z pogodnym czołem i rozumnie zaciśniętymi ustami.

— Tak...—snuła dalej swe myśli—ale te trupy, są to właśnie istoty martwe, istoty, kończące swe przeznaczenie...

Lecz coś w niej targnęło przeczeniem.

— Nie! nie!—zawołała prawie półgłosem—kto wie, może wtedy właśnie zaczyna się właściwe istnienie.

Zielony blask oblał ją całą.

Przebyła most i weszła na ruchliwą ulicę, obramowaną szeregiem latarni.

— Tak...—pomyślała—wchodzę teraz pomiędzy nich, w ich życie zewnętrzne...

Jakiś wyraz cierpienia odbił się na jej ślicznej twarzy. Zdawało się, iż Anka zbiera całą siłę woli, aby wejść w ten świetlany pas, który tam, daleko, z pod krat willi, wydawał się jej tak bardzo błyskotliwym i obcym.

VI.

Numer hotelowy, który zajmował Zagrodzki, wązki był i ciasny, lecz okna jego wychodziły na pryncypalny plac miasta i wchód był po wschodach paradnych, wysłanych dywanem.

Zagrodzki już trzy lata mieszkał w tym hotelu, gdyż to pomieszkowanie dawało mu złudzenie pewnego komfortu i blasku.

Nie potrzebował urządzać recepcyi, apartamentów, przytem na zawołanie zjawiał się fagas, który mu mówił: „jaśnie panie“!

Z początku tytułowano go „hrabią“, lecz odkąd Zagrodzki zaczął kokietować z demokratyczną partją miasta, przykrócił to nadawanie mu tytułu, w czem celują kelnerzy galicyjscy.

Zagrodzki był zrujnowany.

Marszałkowanie przez lat sześć zjadło jego już nadszarpaną fortunę. Przyszedł do stanowiska za pomocą szalonej agitacyi, lecz nie potrafił się na niem utrzymać. Rządy jego w oplakany sposób zaznaczyły się w powiecie. Była to ciągła walka z radą powiatową, która pragnęła go pobudzić do czynu i wyrwać z pysznej niedbałości, jego charakter cechującej. Uczepił się powierzchownych oznak wła-

dzy i wyzyskiwał śmiesznie swe stanowisko „prezesa“, dmąc się—biedna purchawka, dotknięta ciężką a nagminną chorobą galicyjskiej chęci posiadania tytułów. Gdy zbliżał się koniec sześćdziesiątka, Zagrodzki w szalony i zupełnie pozbawiony taktu sposób rozpoczął agitację, lecz mimo to, nie został ponownie wybrany. Był to cios dla dumnego i pełnego przywiązania do drobiazgowości człowieka. Nieudany wybór równał się dla niego jakiejś najcięższej katastrofie życiowej. Posiwiał zgarbił, się i zdawał się przez dłuższy czas być dotkniętym chorobą nerwową.

Po upływie jakiegoś czasu, po przeprowadzeniu korespondencyi ze swymi przyjaciółmi, osiadłymi na bruku miejskim, Zagrodzki ożywił się i postanowił opuścić powiat i wogóle wieś. Pycha „marszałkowania“ była dla niego pierwszym szczeblem do owego włożenia całej istoty, całych sił żywotnych do zadowolenia ambicyi i pyszałkowatości, która była dominującą cechą w jego charakterze. Zaczął marzyć teraz o radzie państwa... Rada powiatowa wydała mu się kurnikiem. Kilku pochlebców, w rodzaju Stalewskiej, lub ugłaskanych dawnych wrogów podpisem na wekslu i oto następowało niepomierne odkrycie niezwykłych „zdolności politycznych“ Zagrodzkiego. W jakim kierunku, przy jakiej partyi miały się ulokować te zdolności, o to było mniejsza. W każdym razie, jako *bene nato et possessionato*, choć ruina to, sama tradycya wskazywała partyę konserwatywną. Lecz i tu nastąpił zawód. Mozolnie i w rujnujący sposób postawiona kandydatura do sejmu runęła, sromotnie wysmagana brutalną dłońą kontrkandydata. Zagrodzki znów uczuł ten sam ból, jaki poszarpał mu duszę w chwili niedojścia do skutku ponownego wyboru. Lecz równocześnie zaciekleść jego wzrosła. Przekonania jednak się nie utwierdzały. Konserwatyzm został porzucony w ką, jak

pajac, którego dzwonki nie wystarczyły na wydzwonięcie dość silnej dozy zadowolenia próżności. W bezsilnym gniewie Zagrodzki kopał swoje Credo, które ku ucieście wyborców wygłaszał. Posiwił jeszcze więcej i teraz już nie zwłóczęc, wypuścił swą wieś w dzierzawę i spadł na bruk miejski, trawiony ciągłą żądzą dostojenstw i wybijania się na forum publiczne.

Zagrodzki był mimo to człowiekiem wykształconym i doktorem praw. Hydra jednak, żrąca go całego w tem wykształceniu i dyplomie, podsunęła mu jeden atut więcej dla jego celów.

W tej walce „politycznej“ zaczął się w nim rozwijać instynktownie zmysł węchu i pewnego szablonowego sprytu. Doświadczenie pouczało go, czego ma unikać, a co mu może przynieść korzyść. Obliczył, iż przerzucenie się do stronnictwa demokratycznego może mu nadać pewne znaczenie i podgruntować jego sytuację. W łatwych fluktuacjach partyjnych znalazł podatny grunt i łatwiej został renegatem, niż to przypuszczał. Dziennik partyi „demokratycznej“ nie był niezdobytą fortecą.

Przyjęto „doktora Zagrodzkiego“ z uznaniem, choć z umiarkowanym entuzjazmem. Kilka starannie wypracowanych i pod względem prawnym dobrze przeprowadzonych artykułów ugruntowało jego pozycję. Zagrodzki miał teraz rodzaj *carte blanche* i bywał nawet dopuszczany do artykułów wstępnych. Powoli ta postać wytwornego starca o ślicznych manierach, rzymskim profilu i rękach pralata, stawała się nie tylko dekoracyjną, ale i potrzebną. On sam przybierał ton człowieka, pełnego powagi i umiejętnego cenić się odpowiednio. Jego edukacja życiowa dopełniała się teraz właściwie. Cały okres marszałkowania, a nawet kandydatury konserwatywnej, uważał za peryod ząbkowania, przez który przejść musiał. Chwilami zdawało mu się, że jest subtelny

w swych politycznych pojęciach i dążnościach i cienki, jak brzytwa. Nabral uśmiechu tajemniczego, ironicznego, którym krył swoje zdenerwowanie i siłę, z jaką powstrzymywał nieukróconą ambicję aktora, któremu oddawna nie przypadła w udziale żadna duża rola. Czekal i pracował dalej nad sobą, udoskonalając się według swego przekonania. W ciszy jednak swego pokoju hotelowego staczał ze sobą całe walki i chodził po czarnej przestrzeni tam i z powrotem, jak pantera w klatce. Przed nim, przez otwarte okno widać było cały plac, obłany światłem elektrycznym, oświetlającym łagodnym blaskiem grupy kasztanów. Na prawo i lewo ciągnęły się perspektywy ulic, poznaczonych liniami latarni. Dorożki z turkotem bezustannym przejeżdżały, tramwaje dzwoniły, szmer dziwny ludzkich kroków i głosów wypełniał przestrzeń. Miasto całe w wieczornym zmroku poruszało się jak gniazdo mrówek, ze zdwojoną siłą. Każdy dźwigał żer codzienny, często wydarty ze śmiercią czyjejs lub swojej duszy i z tym żerem powracał do gniazda.

Zagrodzki chodził ciągle po swoim pokoju, zgorączkowany i niespokojny. Policzki mu zapadły, oczy wielkie, czarne, podobne zupełnie do oczu Anki, błyszczwały fosforycznym blaskiem. Ręce, długie, białe, o paznogiach nader starannie utrzymanych, załamywał forsownie z suchym chrzęstem kości. Chodząc, obijał się ciągle o kant łóżka, które zajmowało trzecią część pokoju.

Na stole jedna świeca w mosiężnym lichtarzu płonęła rozkołysanym płomieniem. Naokoło niej porzucane kartki skryptu i dzienniki wieczorne.

Zagrodzki chodził ciągle, a chód ten stawał się coraz niespokojniejszy. Od pewnego czasu nowa myśl zaświtała mu w głowie. Następowaly wybory do rady miejskiej. Zagrodzki postanowił wystąpić jako kandydat. Rozważył swoje dane i sądził, że

przejdzie. W dzienniku, w którym pracował, występował wprawdzie jeszcze jeden z redaktorów jako kandydat na radcę, ale Zagrodzkiego postanowiono popierać także z całą forszą. Utworzyły się koalicje, rozpoczął się ruch, agitacja, jakby gromada głodnych zwierząt gryźć się miała o kość z resztką mięsa. Ta godność „rady miasta“ była wprawdzie śmieszna, mała i drobną wobec pychy Zagrodzkiego, lecz po tylu porażkach mogła go zrehabilitować w oczach świata. Udowodniłby jedną, drugą ogniłą mową, interpelacją, że jest godnym dźwigać większe i odpowiedzialniejsze role. Chodziło więc o zdobycie tego miejsca, aby go użyć za trampolinę do wydobycia się na światło. Zagrodzki zdwoił teraz staranność w pisaniu swych artykułów i silił się na moc, siłę, energię. Wczytywał się w artykuły najskrajniejszych agitatorów i usiłował zapomnieć o swoim dobrem wychowaniu i poprawności człowieka, noszącego rękawiczki i parasol.

W takiej właśnie rozterce i wysiłku zastała ojca Anka, gdy zapukała do drzwi jego numeru.

Wszedłszy, przeraziła się prawie wyrazem jego twarzy. Słyszając pukanie, porwał się za poręcz łóżka i stanął, jakby w pozycji obronnej. Chwilami bowiem, zupełnie nagle, doznawał wrażeń, że ktoś, jakiś niewidzialny wróg, chce mu wydrzeć to, co zdobył już dla siebie w swej partyi. To „coś“ wydawało mu się dobrem materyalnem i w gorączkowym swym stanie wyobrażał sobie, że ten cały cenny skarb spoczywa na jego piersi. W nocy już kilkakrotnie porywał się, chwytając rękoma za piersi i z dojmującym uczuciem wstydu, przy opamiętaniu, opadał na poduszki.

I teraz, gdy Anka weszła, schronił się szybko za łóżko, a z ust, nawpół otwartych, wybiegać zaczęły jakieś niezrozumiałe słowa. Szybko Anka po-

deszła pod światło świecy, pragnąc ułatwić ojcu rozpoznanie swej postaci,

— To ja... ojczel! — wyrzekła, sama zmieszana, jakby rzeczywiście uczyniła jakiś zamach na ojcowską własność.

Rysy twarzy Zagrodzkiego rozjaśniły się. Uśmiech o wiele łagodniejszy, pełen spokoju, okrasił mu usta niewypowiedzianym wdziękiem. Wyciągnął rękę do córki, która dłoń jego ujęła.

— To ty... to dobrze... dobrze... dawno cię nie widziałem!... Siadaj!...

— Ja tylko na chwilę — odparła Anka — z prośbą do ojca od Stalewskiej... Jakaś notatka.

Podawała mu papier, lecz on już błędniemi oczyma śledził swoje skrypty.

— Nie mam czasu — wyrzekł — nie mam czasu, bój się Boga!... Artykuł wstępny na jutro nieskończony. Potem jeszcze muszę wyjść, zobaczyć się z kimś...

Anka stała bezradna, przejęta do głębi straszonym, nieokreślonym smutkiem.

— Cóż począć? Stalewska bardzo prosiła.

— Idź sama do redakcyi. W trzecim pokoju na stole leży teka. Włóż skrypt, dopisz: „na rano koniecznie“, to i tak pójdzie. Ja ci jestem niepotrzebny.

— Dobrze.

Anka zgodziła się, wiedząc, że ojciec nie uczyni dla niej nic, skoro jego osobiste sprawy wchodzą w grę i zabierają mu czas, który mógłby jej poświęcić.

Zagrodzki włożył jasne, długie palto i zaczął wciągać rękawiczki.

Anka jednak nie odchodziła.

— Papo! — wyrzekła wreszcie cichym głosem — chcę się ciebie zapytać o coś, tylko muszę się dowiedzieć prawdy.

— Mów!

— Czy... Stalewscy mają zapłaconą całą umówioną sumę za moje utrzymanie?

Ciemny rumieniec oblał nagle twarz Zagrodzkiego.

Zbudził się w nim „pan“, któremu w oczy zarzucono niedotrzymanie danych zobowiązań pieniężnych.

— Nie wiem... — wymówił szybko, sięgając po cylinder — nie wiem, muszę zajrzeć do moich notatek. Przy tym nawale zajęć mogłem zapomnieć.

I nagle, jakby uderzony jakąś myślą, wyciągnął rękę po notatkę Stalewskiej:

— Daj! — wyrzekł — sam dopiszę „pilne“, aby poszło jutro rano.

W rękawiczkach, na rogu stołu, dopisał ukośno czerwonym ołówkiem kilka słów na eleganckiej notatce, zapisanej drobnem, kobiecym pismem.

— Ależ... — odezwała się Anka — nie przeczytałeś nawet, co Stalewska napisała...

Zagrodzki ironicznie wrzucił ramionami.

— Jakieś artystyczne głupstwa. To idzie do wiadomości artystycznych. Tego nikt w dzienniku nie czyta.

Anka teraz z kolei doznała uczucia upokorzenia. Nie dla znaczenia słów wypowiedzianych, lecz dlatego, że je wypowiedział właśnie jej ojciec i że wypowiedział je w taki nędzny sposób, iż wszelka dyskusja albo replika stawała się zbyteczną.

— Chodźmy! — powiedziała nagle, a głos jej brzmiał twardo i ostro, tak, jakby mówiła do obcego człowieka.

I w istocie, były to dwa światy całe, odrębne: ten ojciec, rozpolitykowany na gruncie osobistej ambicji, żyjący cały dla zewnętrznej parady i tych drobniaków, zbieranych z całą tragiczną energią po zaułkach życia — i ta córka, idąca znów przez świat

zewnątrzny jak cień, cicho, lekko, nie zaczepiając nigdy własną duszą o to, co mogło zostawić rysę na piękności jej kryształu.

Gdy wychodzili z bramy hotelowej, oboje eleganccy, rasowi, wytworni, z wyniosłym sposobem trzymania głowy i spojzeniem z pod rzęs przysłonionych, każdy mógł powiedzieć:

— Jedna rasa ciała, lecz dusza, poruszająca się w zupełnie innym regionie, innej sferze, odrębnie utworzonego życia.

VII.

Zagrodzki i Anka zanurzyli się niejako w fale czarne miasta, świecące tylko zdaleka, jak smugi fosforyzujące na morskiej toni.

Szli pomiędzy tłumami ludzi, temi „tłumami samotnych“, z których każdy cisnął do piersi jakąś zdobytą chimere, która go żarła, i tak serce, jak duszę z niego wypijała.

Lecz każdy z nich niósł tę chimere, wypieszczoną i wykolysaną latami całemi, jak kryształową lampę, w której płonęła treść jego życia.

Niósł, ociekając krwią, potem i łzami, i dlatego jedynie, aby mógł dosyć miejsca zdobyć dla onej chimery, dla tego jedynie roztrącał innych, starając się zabrać jaknajwięcej światowej przestrzeni.

Tak myślała Anka, idąc obok ojca, potrącana i popychana przez ludzi.

Gdy szli pod latarniami, lub wystawami sklepów, światło białawe padało na twarz Zagrodzkiego

i wydobywało niezwykłą piękność jego profilu, którego dół tonął w bieli jedwabistej długiej brody.

I Anka myślała, że ten człowiek obcy, cisnący do piersi swą chimere pychy, chimere o malej głowie, lecz długich, ostrych pazurach, idzie obok niej zupełnie zimny i obojętny na to, jak ona idzie przez życie, czy ona ma dość miejsca, aby zakreślić sobie koło istnienia i czy ma dość sił, aby wytrwać w tem kole.

Szli milcząc, pogrążeni w myślach: on z oczyma zahypnotyzowanego, godzącego się nawet na najmniejszy stopień, byleby na stopień, któryby go podźwignął choć na parę cali ponad tych, którzy koło niego przechodzili — ona, wyrwana nagle ze swego świata, zblakana w tem morzu szpetnych drobiazgów, rozdętych przez nicość charakterów ludzkich do rozmiarów katastrof życiowych.

Szła za ojcem, nie wiedząc, dokąd idzie, oszłomiona, zmęczona, tak jakby unoszona jakimś prądem, w którym co chwila wyczuwała, czy to belki, czy gnijące i rozpadające się ciała topielców.

Czasem, w blasku światła, minęła ją jakaś postać błędna, pełna smutku, rozsiewająca bardziej duchowe odczucie stron życia. Lecz postać ta ginęła w masie i prąd sympatii, który przenikał duszę Anki, rozplýwał się w skłębionym wirze szpetoty i nerwowego pośpiechu.

Zagrodzki minął wreszcie ludne i gwarne ulice i zaczął się kierować ku tej części miasta, gdzie gnieźdzą się całemi masami, jak robactwo, ludzie brudni, niemyci, o cuchnącej odzieży i ciele, przepojonem wilgocią suterenu.

Latarnie stawały się tu coraz rzadsze, jak gdyby miasto kryło w ciemności swe wrzody i blizny. Natomiast z szynków, coraz częstszych, padały, razem z tonami harmonii lub harf, pąsowe smugi

światła, przefiltrowanego przez źle dochodzące, czerwone firanki.

Pod oknami stali mali chłopcy i dziewczęta, wpatrzeni w szczeliny, które pozostawiały firanki na taflach szyb. Przed domami grupy kobiet rozmawiały cicho. Małe dzieci wałaly się po trotuarach. Pod kamienicami snuły się czarne postacie mężczyzn, schodzących do miasta. I tylko wielka masa tramwajów od czasu do czasu ze światłem, zgrzytem, hałasem, pędziła ciemną ulicą.

Anka doznała tu zupełnie odmiennego wrażenia.

Tu nikt, oprócz jej ojca, nie niósł swej chimery, wykarmionej krwią i potem, własnym i cudzym, ochraniając ją przed rozbiciem. Tu wszyscy niejako kurczyli się w swych osłonach cielesnych, chcąc jaknajmniej zająć miejsca, aby mieć jaknajmniej potrzeb życiowych. Zredukowanie tych ostatnich do najmniejszych ilości, nadawało życiu tych ludzi cechę życia, bardziej wewnętrznego i kontemplacyjnego. Słów było mało, więcej westchnień, czasem łkań, czasem jęku. Zgrzyt śmiechu nie dawał się słyszeć nawet z ust dzieci, które milcząc, pozbierane w sobie, pęzwały, lub cisnęły się do ścian kamienic.

Była do dzielnica smutku i zgnębienia.

Anka z jednego wrażenia oszłomienia popadła w inne, wręcz skrajne wrażenie jakiejś żalobnej tęsknicy.

Szła, jakby po cmentarzu, a nieruchome postacie kobiet, okryte chustkami, wydały się jej jak żalobne anioły kamienne na straży sarkofagów.

Jedna z nich stała opodal szynkowni i płakała.

W słabem świetle latarni zasrebrzyły się wilgotne smugi łez, płynące po policzkach. Anka, idąc w tej ciemni, myślała, że nie mogłaby ująć duszy

tych ludzi w pewną formę. Była to szara bryła, bez kształtu prawie i nie promieniująca z siebie ani siły, ani woli. Siła ich prawdopodobnie była skoncentrowana wewnątrz nich, w głębi, i trzeba było wielkiej katastrofy, aby ją na zewnątrz wydobyć.

Tak, nie przyjmując nic, nie dawali z siebie nic, ścieląc się szarą, milczącą masą na spodzie życiowego układu.

Nie mglistość ich otaczała, lecz ciemnica zupełna, trudna do wytłómaczenia. Wyczuć w niej prawdę, dotrzeć do prawdziwej fizyognomii tych ludzi, było pracą niejednej chwili.

Anka stąpiła dalej za postacią ojca wśród tej bolesnej części społeczeństwa, która składa się z istot najnieodstępniejszych i najmniej pochwytnych. Ciemna bryłowatość ich duszy chwilami zmienia się w ostre kanty, które stają się morderczym narzędziem, zuchwałem i ślepo namiętym. Czasem wybuch żywiołowego uczucia rozsądza kamienną formę i z tego powstaje zbrodnia, albo choćby występki, lub cała litania grzechów powszednich, które, jak kamyczki, toczą się na istnienie drugich istot. Najczęściej jednak jest to wielkie, szare, bezbarwne milczenie, zakończone charczeniem agonii. Nie jest to wytrwałość, pełna szlachetności, jest to ponury zanik pragnienia ujrzenia kwiatu osiągniętego szczęścia.

Zagrodzki skrzył w boczny zaułek i stanął przed wążką i długą kamienicą, ciemną, tak ciemną, iż zdawała się niezamieszkaną.

W bramie tylko tliła się naftowa lampeczka i ta oświetlała mury, przepojone brudem i zieloną wilgocią.

W tej chwili dopiero Zagrodzki spostrzegł, że idzie z nim córka.

Wszedł do sieni, Anka poszła za nim.

Stanęli nad rodzajem czeluści, z kądem wydobywano się straszne, zgnile, piwniczne powietrze.

W ciemnicy można było rozróżnić kilka oślizgłych schodów, prowadzących w głąb tej jamy.

Zagrodzki pochylił się i kilkakrotnie przyciszonym głosem zawołał:

— Panie Wierciak!... panie Wierciak!...

Z głębi czeluści coś się zakotłowało, jakieś drzwi roztwarły się z trzaskiem, ktoś zaklął strasznie słowy, słychać było uderzenie ciała o ścianę, jęk, potem znów przekleństwo, trzaśnięcie drzwiami, i nastąpiła cisza, wśród której wyraźnie teraz słychać było melodyę nuconej piosenki.

I Ance zdawało się nagle, że ona jest skazana, zmuszona żyć w takiej czeluści całe swe życie i że nigdy nie zobaczy już ani słońca, ani wolnego obszaru przed sobą.

Dotknęła ręki ojca, szepcząc:

— Ojczel! dokąd mnie zaprowadziłeś?

Lecz on, z uporem maniaka, pochyłony ku czeluści, szeptał ciągle:

— Panie Wierciak!

Wreszcie znużony podniósł się i potoczył błędnym okiem po pustej, ciemnej sieni.

— Muszę się z nim widzieć—mówił, jakby sam do siebie—muszę...

— Z kim, ojczel?

— Z Wierciakiem.

— Któż to jest taki?

Zagrodzki zakreślił gest szeroki i niepewny:

— To jest... Wierciak! — wymówił z cicha.

Czuć było w jego głosie i strach i pewien szacunek, a zarazem rodzaj wstrętu i nienawiści.

Pochylił się znów nad otworem:

— Panie Wierciak!—wołał prosząco.

Ankę przejął dreszcz niepojętej dla niej odrazy. Ona, która z taką pobłażliwą sprawiedliwością

zbliżała się do istot ludzkich, uczuła dziwny dreszcz niepokoju.

— Chodźmy ztąd, ojczel! — zaczęła prosić pochylonego nad cuchnącą czeluścią starca.

Lecz on ujął ją za rękę, a głos jego wyrażał gorącą prośbę:

— Zejdź tam, na dół — wyrzekł — tam, po lewej ręce mieszka Wierciak. Musi być w domu, każ mu wyjść do mnie! Powiedz tylko: pan redaktor czeka.

Niepokój Anki, jej dreszcz i trwoga, ustały nagle z temi słowy; skoro miała zajrzeć w oczy temu „niewidzialnemu“, wejść w jego sferę, przestawała bać się i cofać.

— Idę, ojczel! — wyrzekła z prostotą.

Powoli, cicho, jak duch lekka, zsunęła się po schodach w dół cuchnącej jamy. Gdy znalazła się na samym dnie, podniosła oczy i ujrzała twarz ojca, oświetloną mdłym blaskiem lampki.

Nigdy jeszcze nie wydał się jej tak rozpaczliwie związanym z siłą swej chimery, jak w tej chwili. Wyraz oczekiwania, wyryty na jego twarzy, przerażał prawie mocą swoją.

Cale „ja“ tego człowieka skoncentrowało się w tem oczekiwaniu.

Anka zwróciła się na lewo i dotykając ścian oślizgłych i wilgotnych, sunąc się zaczęła długim i ciemnym korytarzem.

Przez chwilę zdawało się jej, że pozostanie tak zawsze odcięta od świata i że za życia jeszcze czuje przedsmak grobowych rozkoszy.

Powoli oczy jej przyzwyczaiły się do tej ciemności. Przed sobą dostrzegła Anka wązkie linijki czerwonego światła. Po za temi linijkami monotonny głos wydobywał się melodyą kilku sennych nut.

Anka zbliżyła się, wyciągnęła ręce; drzwi, cale splekane w szpary, ustąpiły z nadzwyczajną łatwo-

ścią i Anka znalazła się w formalnej jamie, wyżartej w fundamentach domu, jamie na wpeł oświetlonej, zapelnionej jakimiś postaciami, sprzętami. Wszystko to nieruchome, czarne, zagadkowe, pławiło się w jakimś żółtawym oparze, jakby w dymie, jakby w wodnej mgle...

Anka stała na progu, także unieruchomiona i uczuła w tej chwili, że wchodzi do wnętrza, z którego nie wygnano, lecz do którego nie wprowadzono nigdy jaśniejszej wizyi życiowej.

U progu leżała kłoda, przez którą nie mogło przestąpić nie niespodziewanego, bo cale przeznaczenie już było niejako wmurowane w ściany tej jamy i ztamtąd splywała błotnistym, cuchnącym prądem na rzeczy i ludzi, którzy się w tę jamę dostali.

VIII.

Ance zdawało się przez chwilę, że to przeznaczenie pozostania taką ciemną, nieruchomą bryłą, niezdolną do wydania z siebie ani jednego jaśniejszego promienia, zaczyna ogarniać i ją silnemi klezczami. I siła tego zgnilego, rozrosłego w ciemni potworu, była tak wielką, iż Anka w tej chwili nie czuła własnych sił, nie miała przekonania, iż ona jest zdolną do odczucia i wytworzenia piękna, do przepelnienia ogrodu swej duszy najczarowniejszemi kwiatami myśli, dążeń i wyobrażeń.

Stała bezsilna, z rękoma obwisłemi, przepelniona nagle bezdenną pustką i rozpaczą. Opar

mgły zasuwiał się po za nią i zagarniał ją niejako w swe wilgotne, cuchnące objęcia.

Milczenie i nieruchomość Anki trwały długą chwilę. Wreszcie wysiłkiem nerwów dziewczyna zdołała opanować to przygnębiające wrażenie. Postąpiła kilka kroków. Nogi jej tonęły w lepkiem błocie, lecz nagle bezwładność, jaka ją ogarnęła, nie dozwalała jej nawet unieść sukienki.

Równocześnie z jej wejściem do wnętrza sutereny, w kącie jamy, od ściany, powoli zaczęła się odrywać jakaś postać kobieca. Ciemna była, niewyraźna, tak kamiennie bryłowata, jak te kobiety, stojące tam, ponad nią, na bruku ulicznym.

Postać nagle wyciągnęła w górę ręce, jakby przeciągając się, budząc się z półsnu. Wionęły lachmany i z oparów żółtej mgły zdawał się wyrastać nagle szary kwiat niezrany i tragiczny. Kwiat miał smukłość kobiecych kształtów. Lachmany opadły i kobieta, tonąc stopami we mgle, stała teraz nieruchomo, zwrócona ku Ance całą postacią.

— Czy tu jest Wierciak? — zapytała Anka cichym głosem.

Z po za mgły chrapliwy głos kobiecy zapytał:

— Albo co?

— Tam na gorze ktoś na niego czeka.

— A kto?

Anka zawahała się. Nagle przypomniała sobie, co jej ojciec kazał powiedzieć.

— Pan redaktor!...

Mgła się zakłębiła i kobieta szła teraz wprost ku Ance, szła groźnie i wyzywająco:

— E! może to nieprawda. Może to tylko takie hecki... Ale... ja się nie dam.

Była już teraz zupełnie blisko przy Ance, i w cieniu można było rozróżnić jej wielką młodość, steraną twarz nieruchomą i włosy zmierzwiłone, jasne, o srebrnym odcieniu.

Z drugiego kąta jamy odezwał się nagle niski, straszny głos, który w jednej chwili wypełnił całe wnętrze i zdawał się przelewać na obłokach mgły i wnikać w jej zgniliznę.

— Piotruska!... — a co tam?

Na dźwięk tego głosu kobieta znów usunęła się w swój kąt i przyłgnęła do ściany.

Znikła, rozplynęła się, stała się niepewną formą, bryłą czarną i niewyraźną.

— Piotruska! — powtórzył głos — kto tu jest? Gadasz, czy nie? co?

Z kąta doleciały słowa Pietruski:

— Jakaś... przyszła po ciebie.

W kącie przeciwległym zaszemrało groźnie, mgła skłębiła się, światełko cyganka zadrżało.

Jakaś siła skoncentrowana, bez cugli, bez właściwego celu, zaczęła zaznaczać swoje przebudzenie. Przyczajona we śnie, teraz rozprostowywała swój ogrom, sprawiając zamieszanie i niepokój wewnętrzny.

Anka zrozumiała wyczekiwanie, wyrte na twarzy ojca. Tracąc sam siłę, zapożyczał się u innych, u tych, co w podziemnych jamach nie mieli nic własnego, chyba tę niez użytą moc, nierozproszoną w targaniu się w codziennych, drobiazgowych wysiłkach.

— Redaktor na pana czeka — wyrzekła Anka dobitnym i silnym głosem.

Od Piotruski zaleciał cichy pomruk niezadowolenia.

— Cicho tam! — krzyknął Wierciak i w stronę dorzucił:

— Niech panna idzie na górę, ja zaraz idę.

Anka wysunęła się cicho, obrzucając wzrokiem jamę, jakby chciała unieść z sobą ostatnie wrażenie.

I znów dojrzała, jak Piotruska oderwała się od ściany, podniosła się tragiczną linią szarej, zagadkowej rośliny i wyciągając ręce, rozwiła na opary żółte swe lachmany.

— Nie pójdziesz! — zawołała chrapliwie.

W mgłę powstał nagle gwałtowny ruch, jakby potwór jakiś wypływał z głębin jeziora.

Anka zaczęła pośpiesznie iść korytarzem, obijając się o oślizgłe ściany.

Lecz za nią doleciał loskot i krzyk straszny, krzyk kobiety, przejmujący do głębi.

— Jezul... ratujcie!... zabijal...

Anka stała już na schodach, ojciec, pochylony ciągle, zwrócił się ku niej niespokojnie.

— I cóż?... i cóż?...

Anka nie odpowiedziała nic.

Natychmiast po krzyku drzwi jamy się zatrzasnęły i ktoś szedł, a raczej biegł korytarzem ku schodom, oddychając ciężko. Anka mimowoli zsunęła ramiona, gdyż uczucie trwogi przejmowało ją nawskroś dreszczem. Ta istota, biegnąca w ciemni, sprawiała na niej wrażenie odległego, wypuszczonego z klatki potwora, który pragnął tylko wyładować swą nagromadzoną siłę, z obojętnością na ogólnie przyjęty ideał życiowego spokoju.

Szybko przebyła Anka schody i teraz, pochylona nad otworem obok ojca, patrzyła rozszerzonymi oczyma na wylaniającą się z czeluści schodów postać.

IX.

Wśród żółtych oparów jamy dojrzane zaledwie kontury Wierciaka znaczyły się bryłowatością nieharmonijnego ciała. W cokolwiek oświetloną przestrzeń sionki wysunęła się teraz cała postać, owiana

jednym uczuciem, które zdawało się z nią nierozłączne.

Ten człowiek niósł z sobą wrażenie strachu. Wrażenie to, na pozór tajemnicze i abstrakcyjne, zaczynało powoli przechodzić w uczucie fizycznego bólu. Ance zdawało się, że ręce tego człowieka, oparte zwierzęcym ruchem o krawędź czeluści schodowej, są łapami zagadkowego potwora, mogącego zdusić człowieka fizycznie gestem siły i przenieść zamieszanie w świat niewidzialny, brutalnie, bezwzględnie, nagle wtargnięciem, rozpasaniem i niepojęcie śmiałem.

Przez krótką chwilę oczy Wierciaka mignęły ku źrenicom Anki. Przeszywający ból przejął jej mózg. Te ręce, te oczy—to były dwa główne wrażenia, jakie w tej chwili odniosła. Bez tchu zwróciła się ku ojcu. Stał zahypnotyzowany pojawieniem się Wierciaka. Jego kamienna twarz patriarchy ożywiła się, ręce drgały nerwowo. U stóp swoich miał Wierciaka, jakby potwora, zgubionego do połowy w cieniu. Lękał się go i czekał. To było widoczne.

Anka zbliżyła się do ojca:

— Ojcie! — wyrzekła cicho, tak, jakby przy umarłym — ojcie, chodźmy ztąd.

Ocknął się Zagrodzki, lecz nie odwrócił głowy.

— Nie, nie... idź sama... — odpowiedział — ja mam tu do pomówienia...

Anka spojrzała nań smutnie:

— Ojcie, więc znów otaczasz się nimi?

Zagrodzki rozłożył ręce w bezsilnym ruchu.

— Muszę... bez nich nie dam sobie rady. Idź sama do redakcyi... idź!... może chcesz na dorożkę?

Szukał drobnych pieniędzy, lecz Anka powstrzymała go szybkim ruchem:

— Nie, nie... dam sobie radę!... idę...

Nie odchodziła wszakże.

Z dołu sutereny zagadkowa postać Wierciaka majaczyła ciągle w dziwnym od spodu oświetleniu.

Zwłaszcza ręce jego, rozplaszczone, fatalne, jakby czekające na żer, jakby złożone z głodnych ssawek, występowały na jaw, rzucając się w oczy.

I Anka ujrzała coś niezwykłego. Jedna z tych rąk oderwała się od ziemi i wysunęła ruchem ku jej ojcu.

— Dobry wieczór! — ozwał się chrapliwy głos.

Zagrodzki skwapliwie, bez wahania, rękę swą długą, wąską, klekocącą od kości, ku ręce Wierciaka zbliżył.

— Dobry wieczór, panie Wierciak, jak się pan miewa?

Ręka Wierziaka owinęła się dokoła ręki Zagrodzkiego. Nie był to uścisk powitalny, to było wzięcie w posiadanie całej istoty, całego człowieka, wzięcie bezpodzielne. I równocześnie, jakby ciągnąc siłę z tej właśnie ręki starca, cała postać Wierciaka wynurzać się z ciemni zaczęła.

Było to powolne wypelzanie nocnego zwierzęcia z nory na żer.

Anka instynktownie odwróciła oczy i cicho, cała drżąca, wysunęła się z sieni i poszła środkiem ulicy.

X.

— To była *hyena wyborcza* — myślała Anka, kierując się w stronę redakcyi — nikt inny, tylko hyena wyborcza. Odczułam ją instynktem, jakkol-

wiek nie widziałam nigdy w mieście, jak taki człowiek wygląda. Pełza, idzie nocą, dokoła niego szaro, on cały szary i tylko ciemne pręgi dla zmylenia oka od schylonego grzbietu płyną. Idzie w nocy na żer i szuka... trupów.

Przystanąła na chwilę, tak silnie oddziaływał na nią ten pomysłany wyraz.

Trupem tym, który żywić miał hyenę Wierciaka, był jej ojciec. Trupem, który poruszał się sztucznie, galwanicznie, pchany do swych czynów niewidzialną siłą. Ance zdawało się, że dusza jej ojca zabita i zniszczona doszczętnie, już nawet nie tliła w tem pogorzeliisku, lecz, otuliwszy się w skrzydła, martwa, nie uczestniczyła w tym pochodzie przez targowisko pychy i samolubstwa.

— Więc trup... rzeczywiście trup! — myślała z bólem.— Zabił siebie, zabił z takim okrucieństwem.

Przyszedł jej na myśl ten mały hotelowy pokoj, oświetlony mdlawym blaskiem świecy, te porzucane kartki politycznych artykułów i w tem rozpaczliwym środowisku tragiczna, miotająca się postać starca, o wielkich, wylęknionych oczach.

— Nic... — pomyślała — nic dokoła niego wewnętrznego życia niema.

I gdy tak szła przez plac; który powoli pustoszał, jakby w nim zamierało życie, przyszedł jej na myśl obraz, widziany drzez nią dawno, na wsi, w chwili siejby wiosennej.

Po zoranych skibach szedł starzec, z przewieszoną przez piersi płachtą i automatycznym ruchem rzucał ziarno.

A był to szary dzień, wiosenny, szary dzień. I na tle tego dnia powolny, senny gest podnosił

starca dłoń. Leciało ziarno w krąg, na rozkwit, na świeży plon. A starzec był jak sen; szarawa bladeść lic, szarowa białość rąk, płócienny, szary lach. Szedł sam, jakoby sen, przez szarej ziemi szmat, a nad nim szary dzień, wiosenny szary dzień. I ciągle jeden gest, rozwiany, senny gest. Lecz zbrakło dłoni ziarn, już pusta sieje dłoń. Nie czuje starzec nic i wciąż ma jeden gest. Na szarość ziemnych skib otwiera pustą dłoń, i sieje, sieje wciąż, fikcyjną ziarna garść rozrzuca w wichru wiew. I idzie, idzie wciąż, gdzie brózd ciemnieje szlak, a z jego pustych rąk nic nie ulata, nic, li starcze, smutne sny i wątpliwa życia nie...

... ..
 Szła teraz Anka wąską uliczką, wiodącą do redakcyi. Szła, a z nią obraz starca siejącego w pustą przestrzeń i z pustej dłoni—nicość. Siał za życia w zaraniu, siał glebę swą, jak każdy człowiek, lecz oto rozrzuca już nie ziarna, bo ich nie starczyło, lecz życie własne, momenty życia, rozrzucone marne. Szarość tego siewcy z szarością jej ojca spłynęły w jedno, zidentyfikowały się prawie zupełnie. Brózdą życia szedł Zagrodzki i wyciągał sennym gestem dłoń. Zdawało mu się; że rzuca ziarno, które dla niego rozplomieni się kwiatem. A kwiat ten mieć będzie kielich tak pełny, iż gorączka pychy, która go trawi, nasyci się wreszcie choćby na krótką chwilę. Siewca życiowy, o pustej ręce, arystokratycznej ręce, klekocącej przenerwowanym odgłosem grobowych kastanietów.

I ciągle jeden gest, powolny, senny gest...

Anka z tem wrażeniem w duszy wstąpiła na schody, wiodące do redakcyi.

Elektryczność była zgaszona w korytarzu i w salach redakcyjnych, lecz Anka wiedziała, jak sobie poradzić.

Przeszła ciemny korytarz cicho, jak duch, otworzyła drzwi salki, w której za dnia przebywał ojciec i ręką starała się odnaleźć dzwonek elektryczności.

Nagle, szybko, z sofy, stojącej pod ścianą, podniósł się ktoś i pochwycił w milczeniu jej rękę.

Dziwny prąd przebiegł ciałem dziewczyny. Uczucie to nie było jej nieznanem. Był to niepokój, jakby przez mgłę odczuty. Dziś po południu doznała dwukrotnie dreszczu takiego, który zdawał się przenikać głąb i powierzchnię jej istoty.

Zdrętwiała i milcząc pozostawiała rękę w dłoni niewidzialnego dla niej człowieka. Nie uciekała, nie próbowała wyrwać się z tego żelaznego uścisku. Bez oddechu, z sercem zamarłem, z ustami nagle wyschniętymi, jakby żar przez nie przeszedł, stała, ona, zawsze władnąca sobą — bezwładna, bezwolna i zrezygnowana.

I on, ten drugi, był równie nieruchomy, jak ona i równie milczący. Pochwycił jej rękę w ciemności i zdawało się, że skamieniał w tym geście, z którego może sobie sprawy nie zdawał. Połączył się węzłem rąk z niewidzialną drugą istotą, pociągnięty ku niej nagle potęgą tajemniczą, jakiej nie rozumiał.

Wiedzieli tylko jedno. Odczuli się, że byli dwoma wiecznymi, nieubłaganymi i spętanymi siłą bezlitosną wzajemnego pożądania — wrogami. Odczuli się mężczyzną i kobietą w tym wrogim, a zarazem szalonym splocie rąk, który wykwitł nagle wśród ciemności, jak kwiat mistyczny wiecznego dążenia ku sobie nienawidzących się wspólnie i ubóstwiających pleci.

I powoli palce mężczyzny zaczęły się coraz silniej wpijać w rękę kobiety. Nie było to zwyciężkie

obejmowanie w posiadanie czegoś drobnego i zdaje na jego wolę, lecz bazwiednie wtulanie się w to ciepło i wdzięk kobiecy, który niesie osłonę, słodycz i siły równocześnie wampirowo wysysa.

I ona, ta dziewczyna, nieruchoma i przytulona teraz do ściany tak szczelnie, że sylwetka jej nikła na tle obicia, zaczynała reagować i poddawała swą dłoń rozgrzaną pieczęcie bolesnej, która zdawała się dopełniać dopiero jej istotę.

Był to dziwny, cichy ślub. Noc wiązała ich dłonie stulą czarnej żaloby. Trwało to sekund kilka, może dłużej, może krócej. Tego Anka określić nie byłaby w stanie.

Wiedziała jednak, że ta chwila stanowić będzie w jej życiu epokę i że od niej zacząć się liczyć momenty jej egzystencji.

Każda bowiem w życiu kobieta napotyka na taki cichy ślub złączenia się ręki swej z ręką mężczyzny. Bez słów, bez spojrzenia nawet, przychodzi moment dziwny, nieokreślony. Do jakiejś dłoni męskiej, czy w formie pożegnania, czy czasem powitania, wyciąga się bezwiednie ręka kobieca. Łączy się z nią, spoczywa w niej chwilę dłuższą, krótszą. Całe życie, cała siła i moc życia przechodzi w te ręce. Splatają się pocałunkiem, oddaniem się, wyczerpują z siebie władzę, wymieniają tajemne prądy. I rozbiegają się nowozaślubieni, blizcy przez chwilę tak bardzo, iż większej łączności, zda się, już być nie może, rozbiegają się, unosząc jakby pieczęć niewidzialną, a istniejącą na swych ciałach astralnych, które w tym uścisku musiały, łącząc się ściśle i nagle, wymienić się choć częściowo wzajemnie i pozostawać w tem złączeniu.

Na Ankę przyszła właśnie ta chwila wymiany i zatracenia cząstek swej subtelniejszej istoty, tych cząstek, co stanowią właściwie nas, bo, rozplywając się dokoła, jak wonny pył dokoła kwiatu, mają formę nas

samych, lecz doskonalszą, bardziej widmową, bardziej zbliżoną do wyobrażenia naszego ducha, który, zda się, tylko tą właśnie częścią naszej istoty władnąc pragnie. I nią odczuwamy, nią kochamy, nią nienawidzimy, a nie naszą powłoką grubą, dotykalską, cielesną. Ten wiew, ten prąd sympatyj, albo nienawiści, który nas przenika często wtedy, gdy ktoś się do nas zbliża, kogo jeszcze nie widzimy, to właśnie nasza subtelna część, biegnąca na zwiady. Ta cząstka nas, to astralne nasze ciało drży, rozplamienia się miłością, lub cofa się, przejęte nienawiścią. Nerwy nasze, jak struny harfy, przyjmują te drgnienia i zanim ciało tej istoty, która wywarła to wrażenie, pojawi się, myśmy już przeżyli z nią całe widmowe życie, stanowiące podstawę niezłomną bliższego stosunku.

Takie widmowe życie przeżyła właśnie Anka w tym momencie, gdy ręka jej pobiegła bezwiednie w kierunku niewidzialnej dla niej dłoni jakiejś drugiej istoty. Uczucie wrogości i uczucie miłości, wtulającej się całą siłą w duszę i nerwy, ogarnęło ją całą. Jakby woń jakaś słodka przejęła ją, woń i ból. Zdawało się jej, że ktoś pękiem świeżych narcyzów musnął ją po twarzy. W umyśle jej z błyskawiczną szybkością zespoliła się woń narcyza z ujrzaną twarzą gobelinowego, nieruchomego młodzieńca, pochylonego nad strumieniem.

A potem nagle przyszło wyobrażenie trzecie, jak ogniwo lancucha nierozzerwalne. Żywy narcyz, żywy, biały płatek twarzy, w obramieniu gładko uczesanych, czarnych włosów i dwoje oczu dziwnych, szarpiących duszę.

Równocześnie zdawało się Ance, że ktoś wielką, nagle zapaloną pochodnią, rozświetlił ciemność. Ręka, która ścisnęła jej rękę, wydłużała się w ramię—dalej majaczyła postać, naksztalt widma, purpurą światła przepojonego. Anka postać tę poznała.

I mogła teraz krzyżeć głośno, kto był ten, który rękę jej trzymał.

I przyszło na nią słodkie zmieszanie. Od popołudnia bezwiednie postać tę miała na dnie swych myśli. Nieokreślonym prawem podążyła teraz ku niej i miała ją przed sobą w cieniu, złączywszy się z nią splotem rąk.

Nagle jasna struga światła wpadła przez okno i przecięła tę ekstazę wizyjną.

Zapóźniony zapalacz odkręcił kurek gazowej latarni przed oknem redakcyjnej salki.

I zrobiło się nawpół jasno, wydobywając z cienia postacie dwojga ludzi, przytulonych do ściany.

Ręce ich z żalem rozplotły się, jak dwa irysy z wędnącego, żalobnego wieńca. Lecz oczy ich spotkały się i na ustach wykwitł jakiś dziwny uśmiech, będący jakby odbiciem ich poprzedniej, beczelnej ekstazy.

Pierwszy przemówił mężczyzna:

— Po co pani tu przyszła?

Pytanie było żadne, banalne. Lecz po za niem dźwięczały całe światy tego, czego ich dwoje wymówić nie mogło, nie było w stanie, może nie umiało.

Anka usiłowała zebrać myśli, wrócić do równowagi. Przychodziło jej to z trudnością. Jakkolwiek ręka jej opadła wzdłuż ciała, ona miała uczucie, że pozostaje jeszcze w dłoni chłopca o narcyzowej twarzy.

— Ojciec mnie tu przysłał — odparła cicho, zmienionym głosem.

— Dlaczego tak późno? Czekałem, myślałem, że się nie doczekam.

— Pan?... Pan czekałeś?... Na kogo?..

— Na panią.

Anka cofnęła się kilka kroków i patrząc na mężczyznę, doznawała dziwnego wrażenia. Ginęły kontury, ginęły, rozplywały się. Czarna postać ciała

koncentrowała w sobie niejako zarysy postaci, lecz dokoła niej snuł się jakiś cień niepochwytny, niewyraźny.

Usta jej bezwiednie zadały pytanie:

— Zkąd pan wiedziałeś, że ja przyjdę?

— Pragnąłem tego całą siłą — brzmiała odpowiedź.

I gdy zapanowało milczenie, w bladą smugę świetlaną zaczęły lecieć ciche, urywane słowa:

— Wybiegłem naprzeciw pani, widziałem cię, gdy szłaś przez placyk ciemny i nieoświetlony, gdy wchodziłaś po schodach, gdy sunęłaś cicho korytarem, gdy weszłaś tu i podniosłaś rękę... Ja to wszystko widziałem.

Anka nie przeczyła, nie pytała nawet, jak się to stało, że widział ją, będąc w redakcyi.

Od kilku minut wysubtelniał jej wzrok duchowy i siła jej pojęcia. Odgadywała prawdę słów mężczyzny. Wsunęła pod okładkę notatkę Stalewskiej.

Poruszała się cicho i wdzięcznie.

— Co pani wsunęłaś w teczkę? — zapytał z cieniu mężczyzna.

— Nie wiem sama... notatka Stalewskiej...

— Ach!..

Wracali na grunt realny. Ściągali siłą woli i koniecznością faktów rozproszoną w ekstazie czarowną woń abstrakcyjnego życia.

— Stalewskiej! Pewnie reklama!

Anka nie odpowiedziała.

Uczuła dojmujący wstyd, że zajmuje się kolportowaniem reklam Stalewskiej.

Pogardzała w tej chwili sobą.

— Myśmy jej także na jutro urządzili reklamę... — roześmiał się mężczyzna — jest tu artykułik. Tytuł krótki: „Bajazzo“. Nic więcej...

Anka wyciągnęła rękę ku teczce.

— W takim razie zabiorę to, co przyniosłam.

Lecz on kocim ruchem poskoczył ku teczce.

— Na co? Niech się ukazań obie rzeczy. Będzie to nadzwyczaj śmieszne.

— Zdyskredytuje dziennik.

— A nam co do tego?

Położył rękę na teczce i stojąc tak w pełnym świetle latarni ulicznej, wydawał się Ance jeszcze bledszy, jeszcze bardziej dziwny, niż tam, w świetle dziennem, gdy powiewał ku niej białym płatkim beretu

— To, co ja przyniosłem — zaczął z zuchwałością pazia — to protest przeciw tej tandecie malarzkiej, jaką uprawiają coraz więcej tacy Stalewscy i cały ich obóz. Precz z nimi! To nasze hasło! Starzy pajace, którzy trocinami handlarskimi chcą zasypać naszego ducha... Precz z nimi!

Anka stanęła, jakby bezradna, z opuszczonemi rękoma.

— Głęboko są wrosli w społeczeństwo, — wyszeptala. — Przystosowali się do filistrowskich potrzeb, nie rażą, nie każą myśleć..

— A więc społeczeństwo całe poruszyć, ocucić, kazać mu myśleć! Zdrzeć maskę nie tylko z malarzy, ale i z poetów, pisarzy, wszystkich, co się artystami mienia. Pokazać owemu społeczeństwu, iż jest doskonalszy artyzm, niż techniczne piękno wyśladowanej natury, otworzyć artyzm ducha, wejść w ten świat, w ten niewidzialny świat, i uczynić go widowym... Anko! uczynić go „widowym!“

Imię jej wypadło tak naturalnie z ust tego człowieka, iż Anka uczuła, że tak być musiało, inaczej być nie mogło. W komunii duchowej oboje złączyli się z sobą ściśle i bez podziału. Nazwał ją po imieniu, jakby nazwał kwiat na łące, przed którym w ekstazie klęknąłby, chyląc ponad nim swoją twarz bladą. Gorączkowy ruch jego myśli pełnem echem ozwał się w umyśle Anki. Usłyszała

w formie słów swoje myśli, usłyszała je niespodzianie z ust tego człowieka, którym gardziła, jako artystą, kopiującym niewolniczo naturę.

— Pan także? także?... — wyszeptala prawie bez tchu.

— Tak... lecz we mnie jest cała tragedia niemocy. Ja czuję, lecz nie mogę wyrazić tego świata, który pochwyć, uplastyczyć pragnę.

Głos mu się łamał, on sam usunął się na stojące przy stole krzesło

— Zwracam się do natury, bo nie mamy innych form, innych barw... ale bezsilny jestem. Nie umiem połączyć, nie umiem się wypowiedzieć. Próbuje — nie mogę!

— A ja mogę!..

Wykrzyk ten tryumfalny wyrwał się nagle z piersi Anki, jak orzeł ze skały, uderzywszy w skrzydła.

— Ty możesz? ty?..

Blada twarz mężczyzny zaczęła mienić się nagle całą grą uczuć. Niewiara, radość, a potem rodzaj zawiści — wszystko to przesunęło się w jednej chwili po tym naręczowym płatku, poznaczonym onyksami czarnych, szeroko rozwartych źrenic.

— Mogę!... — powtórzyła Anka, oddychając szeroko — mogę, i w tem szczęście moje całe. Wzniósłam się ponad dziełem, które tworzę. Nie zajmuję się drobiazgami, nie pozwalam się ściągnąć ku nizinom perfekcyi. Rozwijam skrzydła i trzymam się nad poziomem. Wychwytyuję dusze, wydieram je przemocą... unoszę z sobą... zbieram w całości... widzę ich syntezę...

Biała była, jasna, czysta, gdy mówiła te słowa. Zdawało się rzeczywiście, iż buja w przestrzeni.

— I co z temi duszami dalej robisz? — posłyszała nagle pytanie, które doleciało ją jakby z jakiejś innej, odległej krainy.

Wstrząsnęła się cała.

— Tak... co z niemi dalej robię?..

Zastanowiła się.

Nie mogła odpowiedzieć:

— Więzę je, przykuwam do płótna, a potem patrzę na nie, jak Neron patrzył na płonące, przywiązane do pala ciała ludzkie.

— Co dalej robisz z temi duszami, które wy-
czułaś, rozumiałaś i ujęłaś w linie, w barwy?..

Zamyśliła się.

— Nie... przechodzę do innych... — odparła wreszcie cicho, jakby zawstydzona.

On nie poruszał się na swem krześle, wpatrzony w nią całą czarną głębią swych źrenic.

— Gdybym ja mógł, miał taką siłę, taką moc — wyrzekł po chwili, a głos jego brzmiał nisko, przemijająco — gdybym ja mógł... zacząłbym reformę sztuki od budzenia dusz całej ludzkości. Syntezę ducha przedstawiłbym człowiekowi i powiedziałbym: to ty, nie ten, który się odziewa w strzyżoną z grzbietu zwierząt sierść, który je trupy bydła i roślin, który tłuszczeniem tych trupów zmywa brud swego ciała... nie ten, lecz taka w linie ujęta forma, i patrz, czego ci brak, ażebyś osiągnął szczęście wielkie, bezmierne, spokoj, który ci pozwoli odczuć prawdziwe Piękno, jego delikatność, jego wdzięk i wprowadzi cię w stan doskonałej szlachetności. Oto, co zrobiłbym, mając twą siłę — kobieto!..

Wpatrzona w bezdeń czarnych oczu mówiącego, chyliła się ku niemu Anka, jak kwiat pochyla się ku wodzie w upalny dzień ku wodzie, od której płyną chłodne, ożywcze prądy.

Zdawało się jej, że do tej chwili błądziła po ścieżkach, przepojonych mgłą, wiodąc za sobą ciężar Prawdy, którą zdobyła.

Nagle ktoś rozświetlił jej drogę, i otworzywszy na ścieżaj zamknięte misterne wrota, odsłonił przed nią wspaniałe wnętrze parku, wśród którego droga

jej życia wycięta była równą linią i oblana jasnymi srebrnymi blaskami światła.

— Patrzeć w głąb duszy... wnikać w głąb duszy... a potem... budzić ją!..

— A gdy powstanie cała teoria takich zbudzonych dusz — dźwięczał dalej niski, dziwny głos — a gdy powstanie cała teoria zbudzonych dusz, powstanie zarazem i potrzeba duchowego arcyzmu. Stalewscy znikną z powierzchni, nie będzie dla nich ani widzów, ani słuchaczy. Arcyzm trocin rozpadnie się w nicłość... Lecz na to trzeba korowodu zbudzonych dusz... zbudzonych dusz...

— Jest chyba więcej, niż nas dwoje — podjęła Anka.

— Jest nas więcej, tak. Lecz to są ci, którzy rozumieją, czują tak, jak ja. Tacy zaś, którzy tak, jak ty, są zdolni powiedzieć: „ja mogę“, tych jest zaledwie garstka. A Stalewskich w literaturze, w poezji, w malarstwie, w rzeźbie, w sztuce, jest cały legion, zorganizowany, silny, potężny, o wielkich, szerokich barach, wypasionych dobrze zjadaczy chleba.

— Ale w nas jest siła, jest moc, jest młodość, jest duch!.. — zawołała Anka — trzeba tylko stanąć do walki. Każde z nas tem, na co go stać, walczyć musi. Pan ujmij swą myśl w słowo, zwiąż je, pisz, mów... Inni niech walczą pędzlem, dłutem, ryłcem — a wszyscy duchem... I wzajemnie torujmy sobie ścieżki, wzajemnie rozjaśnijmy drogi...

Umilkła na chwilę wyczerpana i szybko, silnie wysunęła teczkę ze skryptami z pod ręki młodego mężczyzny.

— To nie pojdzie do druku! — zawołała, rwąc na strzępki notatkę Stalewskiej.

Postanowiła w tej chwili nie czynić żadnych ustępstw, i stanąć do walki w pierwszym szeregu.

— Tyle panu winna jestem... — zaczęła nagle, czując, że wdzięczność przepelnia ją w tej chwili niemal gorączkowym podnieceniem.—Błakałam się, nie wiedziałam, gdzie moja droga. Stałam przed zamkniętymi wrotami. Ta jedna chwila nadała mi kierunek.

— Tak, często taka jedna chwila zmienia wszystko. Ja oddałam pani tylko to, co wzięłam od ciebie.

— Pan?.. ode mnie?..

— Tak, od pani. Tam, daleko, na Węgrzech, w Nagy-Banyja, gdy pani byłaś ze szkołą na studiach...

Głos jego był miękki, prawie pelen niewysłowionego wdzięku i uczucia.

— Tam się pani przedstawiłem przelotnie, na łące, gdy nasza szkoła spotkała się z waszą... I potem śledziłem panią, bo za każdym razem, gdy się do ciebie zbliżyłem, choćby myślą, szlachetniałem... zdawało mi się, że nie stąпам po ziemi. To jest ten fluid siły twojej duchowej, który cię otacza... Pani mnie zapewne nie pamiętałaś...

— Nie— odparła z prostotą Anka — pamiętałam pana, lecz cię źle sądziłam.

— Jakże mnie sądziłaś?

— Porównałam cię z Narcyzem, zapatrzonym w swój obraz.

— Porównałaś mnie dobrze. Jestem takim Narcyzem, lecz patrzę w obraz mego ducha.

Po za oknami życie miasta całkiem zamarło. Cisza była zupełna. Lekki wiatr poruszał tylko delikatnie gałęziami akacji, rosnących na placyku przed redakcją. Drżące ich cienie zaczęły wypełniać przyległy pokój, w którym panowało niepewne, ukośne światło latarni. Anka całą pierśią wdychała w siebie to inne, widmowe życie, w które nagle uniosła się sama, jak widmo. Uczuła się w ekstazie, w rodzaju snu, z którego wyrwać się byłoby dla niej najżywszem

cierpieniem. Była to wielka błogość i szczęśliwość bezmierna. Przeświadczenie, iż jest jeszcze ponad nią silniejsza myśl i wola, nad nią, która sądziła się być silną i pełną woli, napelnilo ją jakimś radosnym rozrzewnieniem. Zbudziła się w niej kobieta, wieczysta niewolnica, która przywykła wznosić oczy w górę, szukając oparcia i wyższości. Męzki głos rzucił jej kilku słowami program duchowy, wskazał ścieżkę...

Zwróciła się z wdzięcznością w jego stronę. W tym ruchu było jakieś poddanie się, królewskości pełne, jakaś abdykacja dobrowolna, bez żalu, a nawet z pewną radością i uległością dokonana—w tym ruchu była „była cała kobieta.“

I ona, która przed chwilą jeszcze mówiła tyle, mówiła tak gładko i jasno, jak gdyby ktos z zewnątrz jej słowa dyktował, nagle nie znalazła słów, nic, prócz tego ruchu, nic, prócz tego gestu, pełnego poddania. Była pewną, iż zostanie zrozumiana, odczuta, bez słów.

— Więc idziesz pani z nami? — zapytał mężczyzna.

Skinęła głową powoli, jakby kładła ją pod jarzmo.

— Oddajesz nam swą moc twórczą?

I znów skinęła głową powoli, jakby czyniła ślub w mistycznej kaplicy Sztuki, kędy wiódł ją oblubieniec o żrenicach z czarnego onyxu.

Zapanowała chwila milczenia.

I w tem milczeniu serce Anki zaczęło się ścisnąć, jakby przecuciem jakiejś wielkiej boleści.

— Jak dobrze, że dziś jeszcze nie pitem... — pomyślała nagle i już nie potrzebowała słyszeć nic więcej.

Wniknęła w jednej chwili w sam rdzeń, w samo jądro tragedji tej woli, tej siły, która miała nad jej wolą, jej siłą.

— Nie pitem!..

Tumany podniecającego gazu wypełniały widmowe przestrzenie. Drgały w nich mgły rozelkanych, rozbudzonych dusz, którym ciała nie mogły nastarczyć w życiowej energii.

Duch Narcyza drgał, wibrował, żył; ciało nie wystarczało, opóźniało, ciążyło leniwem krwi krążeniem, śpiącą harfą nerwów — siła skoncentrowanych eterów, przyzwana na pomoc, przepajała ciało, wprowadzając je w fikcyjną, sztuczną, ognistą wibrację.

Duch w oparach tych żył, rozwijał się, rozszerzał skrzydła. Ciało dążyło za duchem, zachodziła pewna równowaga. I oto, ciało nastarczyć nie mogło — pijackie, tragiczne, opadało lachmanem zużycia.

Rozpoczynała się pogarda tych, którzy nie rozumieeli, rozpoczynał się najboleśniejszy epizod tragedyi.

— Nie pitem!

Bez jednego słowa Anka zasloniła swe oczy wielkim, pięknym gestem kobiety, która stanęła na przeciw boleści swego życia.

Ona zrozumiała, odczuła, co tam szarpało się w głębi Narcyzowej duszy.

Brak równowagi pomiędzy ciałem a duchem.

Przeogromny rozwój duchowy i anemiczne, biedne ciało nędznego, źle zrodzonego, źle rozwiniętego człowieka.

Smutny ciężar, uczepony u skrzydeł, które rozmadlają się hymnem, pełnym samopoczucia i przeświadczenia o wielkości cudu istnienia.

Więc *to* ma przed sobą Anka, w tę walkę bolesną i bezkrwawą weszła i stanęła w niej, odczuwając z przedziwną subtelnością jej nędze i cierpienia.

Więc — on...

— Nie pitem!

I milczenie.

W tem jednym słowie wyczerpanie zupełne. Już duch wyprzedził, już ciało omdlewa. Istnienie się rozłamuje, ale kajdany nierozkuwalne wloką się z tragicznym brzękiem. Należy poddać truciznę, należy organizm „podniecić.“

O brzasku, o świcie, ciało się zwali bezsilne, roześmiane w rozpasaniu, tak, jakby natrzęsało się, tryumfujące, mściwe, zwali się w nieczystym śnie z rykiem zwierzęcia, które płonie powolnie noc całą, i pełne ran, wita brzask jutrzeński.

Nad tem ciałem, skuty z niem, sprzęgnięty, za wiśnie duch i będzie mu gorzką ta chwila szarego świtu, będzie mu pełną smutnego rozpamiętywania. Nawet widmowa, nawet astralna część ludzkiej istoty zamilknie, jakby pogrążona w strasznym le-targu...

Czasem, czasem przeciwnie, duch smutku przepoi świat uczucia, i nerwy pijaka zadrgają, budzi się sentyment, budzi się wielki czar żaru, i wtedy płyną z oczu duże, gorące łzy.

Budzą śmiech pijackie łzy. Duch o astralne widma trąca, wibracja idzie dalej, rozegra harwę nerwów, spływa łzami. Rynsztok, otwarte drzwi szynkowni, albo domów rozpusty, dźwięki konające fortepianu, gasnące lampy, przeżyta tragicznie noc i ponad tem duch ludzki, olbrzymi, rozpościera się w koronie Wszechwładzy.

Wysunęli się oboje na ulice miasta, nie mówiąc wcale z sobą.

Ona, choć ręce odjęła od twarzy, ciągle była przysłoniona krepą żaloby.

On — szedł gorączkowy, śpieszył się, duch go rwał za sobą.

Zdawało się, że zapomniał o całej poprzedniej godzinie, że to, co mówił do niej, to, co pisał poprzednio, było dziełem innego człowieka. W tej chwili był niezdolny do rozkazywania sobie i innym.

Za chwilę ocknie się znów Narcyzem, spojrzy w zwierciadło swej duszy.

Anka wsiadła w przejeżdżającą dorożkę, wsiadła, nie podawszy mu ręki, bo nie czuła potrzeby tego zetknięcia z jego dłonią. Unosiła poprzednie wrażenie i lękała się zniweczyć je zbliżeniem do tego omdlewającego ciała i tyranizującego go ducha. Rozeszli się dziwnie, jak obcy, pomimo, iż węzeł zadzierzgnięty umacniał się tylko tem milczącym rozstaniem. I gdy Anka jechała tak środkiem usypiającego miasta, czuła, iż pomiędzy nią i tym, który szedł „pić“, ciągnie się smuga nierozwalna, silna, a tak delikatna, jak rozwieszony w powietrzu ton, że ta smuga łączy ich stulą, na której, jak brylanty, zadrągają o świcie wielkie, tragiczne, pijackie lzy...

XI.

W willi Stalewskich wszyscy śpią.

Nawet narcyzy koło bramy pochyliły śnieżne korony.

Śpi sama Stalewska w papilotach, namaszczona mlekiem ogórkowym, trzymając twarz zdaleka od koronek poduszek, aby nie odcisnęły się na jej po-

liczkach fałdy i rysy. Śpią dzieci w białych łóżeckach, w aureolach złotych włosów, śpią pieski wśród róż i zieleni dywanów, śpią obrazy grzeczne i portrety „wytworne“ — śpią lalki gobelinowe w perukach — śpi cała zbiorowa dusza domu, prowadzonego na wstążce błękitnej, świeżo wyprasowanej ludzkim ideałem szczęścia.

Nie śpi przecież Stalewski i rzecz dziwna — obrócony do okna, na które troskliwa ręka żony zapuściła storę — ma ochotę przejrzeć tę storę, widzieć co się za nią dzieje w czerni nocy letniej.

Żona utrzymuje, iż odsłonięte okno przeszkadza spać, a „Jasiowi“ — potrzeba sił, bo „obstalunki“ przybywają.

Tak — co chwila. Jest ich tyle, że „Jas“ — nadażyć nie może. — Przyszło mu nawet do głowy, aby na wzór Rafaela wziąć do pomocy kilku uczniów, lecz „obstalunki“ — są tak burżuazyjne i mały mają zakres, że on sam jedynie w nich się obracać potrafi. — Zresztą — nie chce się zdradzać. Rozmaite *truc'i* przyzywane do pomocy, powiększane fotografie za pomocą skioptykonu, jako podstawy portretów — i inna tajemnica „ulatwiania“ — nie pozwalają mu dopuszczać do swej twórczej działalności — sił pomocniczych.

Z oddali szumiała rzeka, szumiała dziwnie, jakby ktoś bezustannie rozdierał jedwabną tkaninę. Stalewski znalazł ten szum i kołysał się z nim do snu.

Odpoczywał w nim „po pracy“, jak mawiał sam, a właściwie pograżył się w łatwą nirwanę drobniagowych głupstw życiowych.

— Tak życie moje płynie — myślał, nie szukając wytwornych porównań — płynie równo, spokojnie — z jednakim jedwabnym szumem.

Lecz dzisiejszej nocy wkradło się coś dziwnego do tej cichej i dobrze przyrządzonej na spoczynek sypialni.

Stalewski nie spał i uczuwał niepokój, z którego sobie zdać sprawy nie umiał.

Po raz pierwszy zapragnął podnieść store u okna.

— Zobaczę gwiazdy...

Wzruszył ramionami.

On — człowiek poważny, siwiejący, pragnie patrzeć na gwiazdy, jak młokos. — Cóż to budzi się w duszy ludzkiej! Jaki śmieszny sentyment!

Czyżby taka dziecinada nie wygasła razem z latami i stanowiskiem? Lecz pozbyć się tej myśli nie mógł.

Sciana jego sypialni, dzieląca go od wolnej przestrzeni, zaczynała go gnębić i tłoczyć się prosto fizycznie na czoło jego.

— Za dużo dziś jadłem — uspakajał się — muszę zmienić tryb życia.

Lecz nagle, bez przyczyny, ogarnął go taki straszny, bezdeny smutek, jakby ktoś w oddali zaśpiewał mu dawno ukochaną piosenkę. — Było to dla niego coś tak niezwykłego ta bezprzyczynowa tęsknica, będąca wampirem naszej rasy — że ogarnął go przestach.

— Co ze mną? co ze mną? — myślał, siadając na łóżku.

Na dole zaturkotała dorożka.

Ktoś otwierał kratę — ciche kroki szeleściły na piasku, na werandzie.

Potem skrzyp drzwi, ktoś idzie po wschodach na piętro i zaraz potem te lekkie kroki drobnych stóp przesuwiają się jakby na suficie, nad głową Stalewskiego.

— To Anka — myśli Stalewski — miała zawieść reklamę do dziennika.

Kładzie się znów, lecz teraz mimowoli patrzy w górę na ten sufit niknący w ciemności, wyczuwa

te kroki, które cichną stopniowo i wreszcie milkną, jakby wyczerpane.

— Wniknij w duszę... — nagle przesuwa się przez głowę Stalewskiego.

Tak powiedziała do niego ta dziewczyna w dziesiętne popołudnie.

— Wniknij w duszę — lecz on, Stalewski, właśnie szczylił się, iż wyczuwa duszę swych modeli. Starał się przecież pochwycić pewien ton całej postaci w układzie familijnej pozy, uśmiechu i dobierając akcesorya, dbał o to, aby one harmonizowały z „rodzajem“ — istoty, którą portretował. To mu przyznawali wszyscy krytycy i choć czytając skwapliwie to, co było o nim w dziennikach, kładł główną wagę na pochwały techniki, z pewną śmieszna dumą powitał i odkrył w sobie owo „pogłębnienie“ swych burżuazyjnych tworów, jakie mu nagle przyznano. I rozpoczęła się serya portretów z gołębiem u piersi, na tle zielonych drzew, a hieratyczna postać pewnej adwokatowej miała przed sobą całą grzędę gorąco żółtych lilij.

Był to „zwrot“ w twórczości Stalewskiego, który powitały radośnie dzienniki — i który, zdawało mu się, nadał mu piętno ostatecznej konsekracji na rozpięcie wysoko skrzydeł ponad twórcze tłumy.

— Czego więc chce ta dziewczyna? — myślał, wsłuchując się w chód Anki — czego ona chce? Nic więcej zrobić duchowego nie mogą — nic więcej nie widzę.

Te ostatnie szczególnie słowa utkwily w jego mózgu niepokojąco i dziwnie. Skojarzyły się potem z całą seryą nowych myśli. — Nie widzi nic — on... lecz może są inni — tacy, którzy widzą.

Poruszył się niespokojnie na swem wygodnem posłaniu.

Farsa! bajka! inowacya, secesya, rozmaite izmy przebrzmiały już od lat kilku, wyszły z mody.

Zycie popłynęło dawnym korytem. Nowatorzy wzięli w skórę, bo oto nikt ich nie kupuje, a on nastarczyć nie może obstalunkom. A potem z nich się śmieją, szydą po dziennikach, a o nim piszą „ładnie” i nazywają go znakomitym. Głos ludu... a więc po jego stronie prawda, a więc on widzi... nie oni.

Czuł przecież niezrozumiały wstyd, niepokój na myśl, że się spotkać ma z Anką.

— Złośliwa jak małpa! — plunął na nią myślą.

Lecz jego estetyczna strona zaprzeczyła. Jakby zdjęty jasnowidzeniem, przebił wzrokiem ciemność sufitu i ujrzał śliczną postać kobiecą, o małej główce inteligentnego dziecka, o wielkich oczach, przejmujących do głębi spokojnym, silnym spojrzeniem.

Trywialne porównanie tej kobiety z małpą — wydało mu się potworne.

Zaprzagnął nagle, aby te oczy spojrzały na niego znów długo i spokojnie.

— Jutro zacznę malować świętą Katarzynę... Zrobię ją delikatną, przezroczystą, zasłonę rozwięję jak pajęczynę i przez nią przeświecę aureolę. Dodam za nią korowód mglistych aniołów. Zobaczymy, czy Anka znów powie: „wnikaj w duszę”... Ten obraz będzie duszą samą... Żona mi będzie pozowała. Jutro ma czas i suknia do świętej już gotowa...

Zawahął się nagle, zdjęty niepewnością.

— Żona tyje trochę — pomyślał — a proszę ją: nie jedz ciastek... Możeby zmienić model?

Lecz ogarnęło go lenistwo. Tak mu było wygodnie z odtwarzaniem ciągle jednych i tych samych rysów banalnej piękności, tak już przyzwyczaił się do tego prostego noska i małych usteczek, iż zmiana modelu wydała mu się ogromem zbyt ciężkiej zupełnie pracy.

— Zrobię ją trochę cieńszą... — pomyślał — uduchowię...

Roześmiał się ironicznie na to myślowe ustępowstwo, jakie robił Ance.

— Ha... zobaczymy...

Jakiś szarawy, wążutki pasek wcisnął się pomiędzy storami.

— Co to? świt? — przeraził się Stalewski — a ja nie spałem!... i to wszystko przez tę dziewczynę. Całą noc strawiłem na... „wnikaniu w duszę” i rezultatem będzie to, że rano wstanę zmęczony i wyczerpany.

Usiłował usnąć, zacisnął silnie powieki. Otulił się szczerlnie koldrą.

Zdawało się, że chce odgraniczyć się od całego świata, lecz równocześnie zabiera w swą samotność cały bagaż małostkowości rozproszonego życia.

— I nic więcej nie widzę...

To były słowa, które kłębiły się pierścieniami poprzez mgłę jego myśli.

XII.

Ponad nim, w pokoju Anki cisza panowała zupełna.

Cisza ta przedświtowa — dziwna, tajemnicza, gdy wszystko w naturze omdlewa nocnym upojeniem i drętwieje na krótką chwilę, gotując się do codziennego cudownego zmartwychwstania.

Anka nie śpi, nie leży na łóżku, lecz podniosła story i roztworzyła na ścieżaj okno, przesunęła krze-

sło — i teraz jest sama, zupełnie sama, tą samotnością, w której człowiek staje się swoim przyjacielem, lub... wrogiem.

Taka chwila jest obrachunkiem szczerym i spowiedzią smutną. Oblicza się małość zdobytych skarbów i wielkość strat. Grzechy nasze (jeżeli są wogóle grzechy) powstają przeciw nam z nieubłaganą srogością. I rodzi się żal. Mówi się — a gdyby... Lecz duch dobrotliwie podaje nam skrzydła i wylania się z groźnych mgieł smutne i tragiczne widmo... przeznaczenie.

Ono koi w nas pogardę i gniew, jakie rosty w kontakcie bezpośrednim z łańcuchem naszych występków, staje pomiędzy nimi a nami w tej samotnej godzinie, budzi w sercu naszym uczucie wielkiej melancholii.

Nie mogło być inaczej... i wzrasta w nas równocześnie poczucie naszej bezsilności. Radość z uspokojenia łagodzi jej groźbę. Czujemy się bezsilni, jak liście wśród jesiennej zamieci, lecz równocześnie czyszcimy od win, bo one przyszły z zewnątrz i nie powstały z nas samych.

A wtedy w tej melancholii odnajdujemy pierwiastek nadzwyczajnej naszej dobroci duchowej. To usiłowanie, jakie czynimy, aby zwrócić się ku wyższym regionom naszego życia, jest dowodem, iż tkwi w nas bezwiedna tęsknota za prawdziwą czystością naszych myśli. Opanowują nas rezygnacja i jesteśmy bezradni, lecz szczęśliwi, zanurzeni w kontemplacji nie naszej, lecz usiłowań, jakie czyniliśmy w dziedzinie upiększenia naszej duchowej strony istnienia. Mogą one być żadne, ale już to samo badanie ich i wrócenie się do nich podnosi nas i uszlachetnia.

Godzino samotnych myśli! jakaś ty dobroczynna i kojąca, ileż w twym przezroczu łaski i miłosierdzia! A gdyś nawet przysłała do nas wśród no-

cy czarnej i bezgwiazdnej, jesteś jasną i świetlaną, bo duch nasz wtedy płonie przed nami jak lampa ofiarna, i drży, i śle nam pozbierane nocne, cudowne blaski...

A blaski te — nasze lzy, nasze bóle, nasze zwątpienia, nasze walki, nasze ciche poświęcenia, nasze ewolucje, i nasze wyczułe zaniki, momenty naszej wielkiej łagodnej Dobroci, i chwile naszej tragicznej Nienawiści, nasza Szlachetność i nasze występki, nasza siła cudowna i nasze tajone chęci zbrodnicze — wszystko to stawia przed nami godzinę samotności, w której przeżywamy tysiącokrotnie silniej nasze życie, niż w innych, bardziej uchwytanych chwilach.

Godzina samotności dźwiga nas na szczyt naszej istoty i ztamtąd pozwala nam ogarnąć widnokrąg nam przeznaczony.

Wnikamy w siebie, w tę część nas, która jest po za nami, która nas otacza, wybiega na spotkanie zdarzeń i otrzymuje pierwsze wrażenie.

My w zwyczajnych chwilach odczuwamy cięlnie w sposób mniej subtelny niż ona sama i tylko odgadujemy, że lzy, które z ocz naszych płyną, są wyrazem stokroć większej jeszcze boleści niż ta, która nam serce uciska. W godzinie samotności jednak, gdy po upływie pewnego czasu, podnieść się zdołamy w ten wyższy region, na ten szczyt naszej istoty, jakby jasnowidzeniem zdjęci, przez chwilę może jedną, a może przez cały szereg chwil, jesteśmy zdolni odczuć to, co czuje bez współudziału naszych dwóch drugorzędnych istot, ta część wysubtelniona, ta — dusza nasza.

I dlatego to nigdy z taką przedziwną jasnością nie wnikamy we wrażenia poprzednie, nigdy tak nie wibrujemy cali rozpaczą lub ekstazą, nigdy tak nie

kochamy i nienawidzimy, jak w takiej wielkiej, pięknej, wspaniałej Godzinie.

W tę Godzinę męki i szczęścia weszła Anka, wróciwszy do swego pokoju pomiędzy płótna, które stały nieme i niewidzialne, odwrócone do ściany.

Nie zapaliła światła.

Zrzuciła z siebie wierzchnią odzież i narzuciwszy długi płaszcz ciemny i faldzisty, siadła znów przy oknie.

Lecz dziś nie wchodziła w kontakt z naturą, nie przepuszczała promieni gwiazd, szafiru nieba i cieni drzew przez pryzmat swego temperamentu; pozostała sama z sobą i z tem, co w faldach i załamach swej duchowej szaty z sobą przyniosła.

Zaraz, bez wstępu opadły ją, jak wielki sęp, słowa, które wstrząsnęły nią całą.

— I co z temi duszami, które potrafisz wyczuć, robisz? Co z niemi robisz, odpowiedź!

I własna jej, krótka odpowiedź:

— Nic!

Nie obejrzała się po za siebie, a czuła przecież, że one są tam, te wszystkie ludzkie istoty, te wszystkie napozór martwe rzeczy, których duszę wyczuć potrafiła; one są tam, w aureolach swoich, w rozpromieniowaniu na szczątki swych istot, są tam po za nią, jak cały zagon, cała grzęda kwiatów zastygłych w jakiejś niepewności i oczekiwaniu. Stały tak milczące, przykute do płóci, wyczekujące na jakieś objawienie, na jakąś Łaskę, która z ich wypromieniowanych atmosfer zdoła wyciągnąć tyle siły, aby z niej utworzyć możliwą egzystencję,

otworzyć im światy myśli, unormowanych pojęć i wielkiego harmonijnego spokoju.

I to właśnie odczuła Anka dzisiejszej nocy, siedząc przytulona do ramy okiennej, odczuła to wyczekiwanie dusz, które zbierała jako płomienne lub gasnące kwiaty na łące i plon tam swój pozostawiała bezczynnie, nasycając się tylko rozkoszą swej twórczej potęgi.

To pytanie, rzucone jej: „co z niemi robisz?“ — otworzyło przed nią nowe światy.

Do tej chwili podobna była do księżniczki, chodzącej wśród klombów parku, do którego siła jej i wola przyzywały coraz nowe nadzwyczajne twory. Dziś księżniczka mogła się zmienić w pracownicę, ożywiającą tchem swej piersi skamieniałe w oczekiwaniu zbiory.

— Powinam — myślała Anka — powinam. Duch mój widzi, odczuwa, pojmuje... na toż mi danym był dar jasnowidzenia, abym z niego robiła posłusznego niewolnika, oddanego sztuce? Na to widzę to, czego inni nie widzą i ujmuję tę wizję w jakieś formy i barwy, aby z nich nie pozostało nic, prócz... dokumentów? Mamże być jako artysta jedynie reprodukcją tych jasnowidzeń, które ludzie nazywają natchnieniem? Z wizyj moich, z cudownego daru nie pozostanie nic więcej, prócz pewnej ilości tak zwanych dzieł sztuki?

Czy nie jest to połowiczne zaledwie spełnienie mego zadania życiowego? Czy w tej „drugiej części“ artyzmu, którą do tej chwili pozostawiłam odłogiem, nie leży dopiero prawdziwa rozkosz artystyczna? Nie leży prawdziwa ekstaza dokończonego dzieła?

Czy po to patrzyłam wgląd oczu ludzkich, czy po to zbierałam ich dusze i ujmowałam w formy ich ciała, aby postawić ją jak kryształową lampę, gotową do zapłonienia, a nigdy niezapaloną?

Narbut miał rację. Narbut rozumiał pełność twórczości. Narbut, gdyby miał jej cudowną moc, nurzałby się w rozkoszy prawdziwego tworzenia.

Tak, wszystko to uczyniłby Narbut; dlaczegoż jednak on, a nie ona właśnie?

Przypomniała sobie teraz doskonale jego nazwisko, nawet imię. Na zielonemi liśćmi winogrodu pokrytych polach w Nagyi Banyia, gdy jesienne słońce świeciło złotym, przepalonym blaskiem, imię jego „Bolek“ przelatywało z ust do ust, jak motyl biały, zapóźniony wśród gorącego jesienno-krajobrazu.

Przechodził obok niej blady, smukły, chwiejny, z ciemnymi plamami oczów, wpadniętych w głębi głowy. Anka z oczami temi spotkała się w dziwnej komunii duchowej i zabrała z nich jakies ciemne głębokie promienie, które w jej źrenicach pozostały, jakby czekając na drugą podobną chwilę.

Gdy trzymał ją tam, w cieniu za rękę, promienie te o szafirowym blasku zasypiającego Adryatyku zawirowały jakby wskrzeszone. I teraz miała ich pełne nie tylko źrenice, ale duszę całą. Wibrowały w niej silne i gorące. Zbierała je z całą siłą, lękając się, aby nie rozproszyły się w tem zbudzonym życiu i nie odbiegły od niej zupełnie.

Nie był to sentymentalizm zaczynającej kochać dziewczyny, to było coś więcej, to był początek tego, co ludzie zwą „przywiązaniem“, zwą banalnie, lecz z wielką prawdą i siłą. Ankę zaczynały wiązać z tym człowiekiem nieuchwytnie, a przecież rozpaczliwie mocne nici. Zdawało się jej, że od niego ku niemu wybiega cała moc migocących błękitno promieni, cała ich sieć — i gubi się, traci w jego duchowej istocie.

Po sieci tych strun przejasných przebiega ciągle jakaś część jej ducha, przebiega i niknie, roztopia się, nie wraca więcej do niej, pozostaje przy nim

Lecz struny wibrują, drżą... Anka słyszy, czuje, co się dzieje z nią, z jej duchem, wtopionym w ducha tamtego człowieka, i żyje tamtem życiem, traci już swe siły własne, natomiast zyskuje siłę jego. I ztąd pewna rozkoszna rozterka, niepokój, pozory niemocy. Nowy, świeży prąd wnika w zastój jej istoty, przedostaje się do jej wewnętrznego życia. Z początku ogarnia ich bunt, „nie chcę“ — mówią oboje — muszę pozostać sobą. Lecz nic nie pomaga. Mury, przestrzenie, rozłąka nie zrywa tajemniczej nici, którą wyczuwają oboje. I poddają się. Biegają ku sobie wzrokiem, łączą się w myślach, czynach, ideach. Ciągłe wibrują w jednym kierunku i teraz już dopomagają swym duchom w tem chłonięciu się, zatracaniu jednego w drugim, stapianiu w ciągłym kontakcie wzajemnym.

Ciała ich często pozostają zimne, zmartwiałe niejako, tak silną jest piękność tego niematerialnego złączenia. Jeżeli ręce się zbiegną, jeżeli oczy w sobie utoną, zwierzę brutalne odezwać się nie śmie. Jest to czysta, wielka, szlachetna linia, która im obojgu starczy. I jedno tylko zająć może, jedno jedyne: Wytworzenie się tak silnych wzajemnych nici i wymiany duchowej, że ta siła domagać się będzie wcielenia w istotę osobną, w istotę trzecią, w całość odrębną już i działającą. I wtedy może nastąpić chwila cudu, chwila twórcza, wielka i niepojęta. Stanie się to bez ich woli, bez ich wiedzy, za sprawą potęgi duchowej, niepojętej przez nasze biedne umysły. Gdyby jednak nie doszli do tej chwili, szczęśliwsi będą i silniejsi. Zachowają dla siebie wzajemność szlachetnej ekstazy. Nie będą się kochali w sobie, lecz będą kochali się wzajemnie, kochali w inny, stokroć piękniejszy sposób, niż para kochanków, rwąca brutalnie swe serca na strzępy. Lagodny spokój i cisza ogarnie ich stopniowo. Będą smutni i spotykać się będą prawie w milczeniu, tak

jak spotykają się co chwila ich dusze, biegnące ku sobie, jak dwa skrzydlate duchy z masą kwiecica na rozpostartych skrzydłach. I gdy wymieniają kwiaty swego uczucia, pozostają naprzeciw siebie w kontemplacyi piękna, jakim wzajemnie przepoili swe istoty.

Zdolni będą ci dwoje do wielkich poświęceń, do wielkiej abnegacyi, do słów, które druzgocą i które stwarzają olbrzymie dzieła. Natchnieniem często dzielić się będą, jak pękiem nenufarów, które z tafli wodnej o rannym brzasku wykwitają. Ścieżki ich będą wspólne i gdy jedno upadnie, drugie zatrzyma się w drodze, aby nie iść dalej, lecz czekać będzie we łzach i z tęsknotą.

Przejasny będzie ich rozkwit, przesmutne będzie ich rozejście się w „zaświaty“.

Są oni kwiatem przeznaczenia, światłem duchowej kaplicy, pieśnią zabłąkaną na cmentarzu porażonej w drobiazgach ludzkości.

Zeszli się najczęściej nagle, jak dwa liście, pędzone wicherem jesiennym, przytulili się drżący i zmęczeni, uśmiechem pokryli pierwsze wrażenie, i oto, jasność wielka wypromieniowała z nich szlachetną tajemnicą.

W bezsennej nocy pobiegną myślą ku sobie, falami słonecznych blasków popłynie ich wzrok w głębinę zrenie. I będą się czuli więcej „swoi“, niż ci, których formy albo krew wiąże.

To wszystko ludzie zwą przywiązaniem...

W tę ciemną, letnią noc — Anka doznała tych dziwnych, niepokojących objawów, jakie poprzedza

zbudzenie się w sercu kobiety przywiązania. Już myślą wybiegła ku temu człowiekowi, który zdawał się łączyć z nią tajemniczą nicią. Czula, że on działać zaczyna w jej duszy. Było to dla niej radosne a niespodziewane wrażenie. Nie chciała mu przeszkadzać, ale zapragnęła raczej zmusić swoje „ja“ do dopomagania mu w tym kierunku.

A więc należało coś zrobić dla tych dusz, które tam uwiecznione czekały całym szeregiem jakby na przebudzenie.

— Zebrałam z nich pył duchowy, z niego utworzyłam ich wizerunek, one więc są częścią ich samych, żyją, otaczają mnie, może cierpią.

Przebiegła ten szereg myślą. Przedstawił jej się jako amalgamat barw i form.

Wylonila się z nich jedna postać uchwytna.

— Nadworny malarz bogatych koltunów — pomyslała z ironią.

— Bajazzo.

Zastanowiła się.

Zrobiła jego portret, skreślony z pamięci w dziwny sposób. Twarz Stalewskiego, piękna i spokojna, zajmowała środek płótna. Była to tylko głowa, nie więcej, głowa jakby oderwana i unosząca się w przestrzeni. Przestrzeń tę wypełniały pstre barwy, jak szata arlekina. Były banalne, konwencyjonalne, różowe, lila, zielone, błękitne, barwy obić pokojowych w kamienicach, stawianych przez „solidnych“ obywateli, tandeta barw wesołych, miłutkich, przyzwoitych i grzecznych. To promieniowanie barw, będące niejako atmosferą duchową, w której przebywała istota Stalewskiego, schodziło się znakomicie z określeniem „Bajazzo“, jakiego Narbut użył na owego mistrza.

— Myślmy jednak — przesunęło się w umyśle Anki jakieś trwożliwe, ledwo sformułowane zdanie.

Wpatrzyła się w ciemność i widziała teraz już nie obraz swój, lecz głowy samego Stalewskiego w olbrzymiem kole wirujących arlekińskich płatków.

Wyteńczyła wzrok i siłę duchową. Zaczęła przenikać to koło, które było tak silnie rozwirowane, iż ciągnęło ją niemal za sobą.

— Czy nic w nim niema, prócz tej chęci błyszczącego na arenie pajaca?...

I nagle, na sekundę jedną, na mgnienie sekundy duchowy wzrok Anki dostrzegł na twarzy Bajazza cień, leciuchny cień smutku, czy tęsknoty... żalu...

Za czem? po czem?

Lecz głowa już nikła w powodzi arlekińskich płatków i barw, pokryły ją cała, porwały w wir.

Niemniej w duszy Anki pozostało wrażenie tej jednej chwili. Przymknęła oczy, aby utrwalić je w sobie zupełnem odcięciem się od światów zewnętrznych.

Siedziała tak długo, nie czując chłodu, płynącego od rzeki, cała zatopiona w sobie i przeżytych chwilach.

Gdy otworzyła oczy, szarawa bladość dnia rozjaśniała w oddali horyzont.

Było to jeszcze martwe, szare, smutne światło, lecz w oczach Anki znalazło odbicie radosnego powitania.

— Świt!—pomyślała—świt... wstaje nowy dzień.

I zaraz dodała w swej myśli:

— Jak dobrze, że nie spałam całą noc. Tyle przez nią skorzystałam!...

I powstała teraz jakby na powitanie dnia, jakby chciała pochwalić się przed światłem tą przemianą, jaka w niej zaszła.

Płaszcz ciemny spadał jej z ramion, włosy rozplotły się i zsuwały wśród fałdów płaszcza. Była wyniosła, piękna, blada. Oczy z pod długich rzęs

utkwiała w szarzęjący pasek dnia, ręce splotła na piersi.

Czekała na słońce, na dzień, na świt...

XIII.

Dzień upalny, prawie duszny, lecz od wczesnego ranka Stalewski zapowiedział w domu, że malować będzie w ogrodzie.

Zapanowało lekkie zamieszanie.

Wiadomo bowiem, że gdy „mistrz“ maluje świętą, pani pozuje, a gdy pani pozuje, to dzieci muszą iść na wały, a gdy dzieci idą na wały, nianka musi ubrać się w przepyszny kostium krakowski, a dzieci idą jak żywe Katy Grenvay, jak wystawa manekinów, postrojone i bardzo „malarskie“.

Od rana Stalewski febrycznie się przygotowuje, czuwa nad przeniesieniem stalugi, na której świeżo nabite na blejtram płótno bieli się wspaniale.

Płótno ogromne, apetyczne, zachęcające.

Cała serya węgielków przygotowana obok stalugi. Miejsce wybrane znakomicie. Kilka jabłonek rośnie na drugim planie. Jest nawet mała brzołka. Święta iść będzie w strudze światła. Zastłonę, mającą tworzyć przezroczą aureolę, Stalewski rozepnie kunsztownie za pomocą czarnych nitok w powietrzu, wiążąc nici do gałęzi drzew. Robiła już tak parę razy z sukniami i efekt był znakomity.

Stalewski jest dziś dumny, bo postanowił malować bez zdejmowania poprzednio fotografii. Ula-
tował sobie zwykle w ten sposób pracę i weszło to

mu w nalóg. Lecz dziś ta nieprzespana noc, to dziwne przemajaczenie wśród nieokreślonych jakby wyrzutów, tęsknoty, podniosło go i równocześnie zmęczyło.

Zapragnął dać owemu podnieceniu ujście w „czystym artyzmie“. Na zapytanie żony, czy przygotować aparat fotograficzny—odparł, przeciągając się z udaną niedbałością:

— Nie trzeba... dziś sprawię sobie uroczyste święto.

— Nie będziesz malował?

— Dziś będę tworzył.

Stalewska otworzyła szeroko oczy. Była śmieszna w tej chwili z twarzą jeszcze nieupudrowaną i najeżoną papilotami. Gorliwie bowiem pozapiekala włosy, mające spływać lekkimi falami na śnieżną szatę świętej. Znała swoje obowiązki i mówiła z lekkim westchnieniem o trudach, jakie ponosi żona artysty.

— Jesteś jego natchnieniem — szczebiotaty jej przyjaciółki na fixach i rautach. Stalewska uśmiechała się melancholijnie.

— To jedno mi dodaje odwagi. Wiem, że bezemnie Jaś nic nie stworzy. Ale ileż umęczenia! Często mdleję pozując, a on, *croyez vous...* nie widzi tego, maluje dalej...

— Jeżeli jednak upadniesz na ziemię..

— Ah *chérie...* ja do tego stopnia znam swój obowiązek, że nauczyłam się mdleć, nie zmieniając pozy.

Ekstaza—szczebiot wzrasta, breloki brzęczą, jakby kilka par sani wjechało do salonu.

Stalewska stoi zdziwiona przed mężem i wreszcie, kręcąc głową, powiada:

— Po cóż zadawać sobie tyle pracy? Wieczorem powiększysz skioptykonem, jak zawsze.

— Nie... nie...

— Zresztą twoja wola. Tylko ja twierdzę, że to ci zabierze więcej czasu. Można go lepiej zużytkować.

Odeszła trochę podrażniona. Wtrącała się tak ciągle do jego pracy, wyliczając mu czas niemal co do minuty, rozkładając szufladkami to, co powinien przez dzień „zrobić“.

Umiała to przeprowadzić gładko, przyzwyczajona z pozorną starannością o jego dobro i opinię „dzielnego i płodnego“ artysty. Poddawał się jej chętnie i dziś może po raz pierwszy od lat paru okazał pod tym względem swą wolę.

— Należy nie zwracać uwagi i zgodzić się na to ustępstwo, „inaczej gotów wziąć na kiel“ — myślała Stalewska, zdejmując z włosów papiloty.

Prędko była gotowa i cudownie przeobrażona na świętą, według wszelkich formułek kanonicznych, zeszła do ogrodu.

Stalewski już siedział przed stalugami i dobierał węgle. Nie miał dziś pogodnego, wesołego uśmiechu. Gryzł usta, oglądał węgle i rozrzucal je... Stalewska weszła pod jabłonie i z rutyną wprawnej aktorki intuicyjnie dobrała pozę.

Zapytała jednak dla pewności:

— Któż to ma być?

— Święta Katarzyna.

— Panna? męczennica?

— Tak.

Stalewska oczy wzniosła do góry, popadła w ekstazę. Twarzyczka jej stała się w jednej chwili niewinną i jasną. Silnie obciągnęła draperye naokoło bioder, przybrała, o ile możliwości, dziewicze kształty.

Wyglądała rzeczywiście jak te obrazki, które dzieciom rozdają zakonnice w dniu pierwszej komunii.

— Czy dobrze? — zapytała.

Stalewski zmrużył oczy, patrzył długą chwilę.

— Nieźle. Wystąp jeszcze bliżej. Nie będzie miejsca na aniołów.

— Będą anioły?

— Tak, ledwo uchwytnie. Będiesz mi potem pozowała... Popraw zasłonę, ręce opuść... szczególnie lewą, wykręć ją.

— Będzie bolała.

— Ech!... przy tobie nie porządnego zrobić nie można.

Cisnął węglem, z twarzą nagle rozczzerwioną i gniewną. Stalewska również zarumieniła się pod pudrem, lecz szybko opanowała się.

— Pst... nadchodzi.

Wzdłuż krat szli jacyś przechodnie i ciekawie przyglądali się willi słynnego mistrza, a dojrawszy stalugi w ogrodzie, zwolnili kroku.

Z nałogu, z przyzwyczajenia pozowania dla galerii, Stalewski pochwyił za węgiel. Stalewska popadła w ekstazę, mając rękę lewą dziwnie skręconą. Przechodnie stali jak zahypnotyzowani, zapatrzeni w tę „kuchnię twórczości“, rozłożoną na wolnem powietrzu.

Wreszcie oderwali się od krat i poszli drogą. Stalewski rysował jednak z zapalem, trzymając się niewolniczo modelu, rysował nadzwyczaj wiernie i ściśle, kopiując ze sprawnością fotografa każdy fałdzik szaty, każdą linię ciała i drzew. Stalewska nieporuszona, ciągle słodka, wizyjna, oleodrukowa, spełniała heroicznie swój obowiązek z poddaniem się i abnegacją...

Zajęczał u furtki dzwonek. Stalewski zdenerwowany drgnął, oglądając się po za siebie. Zaszemrał żwir. Od furtki szła Anka, niosąc w rękę dzienniki i listy.

— Oto poczta—wymówiła, składając paczkę na krzeselku opodal Stalewskiego.

— Dziękuję... — rzucił jej z roztargnieniem Stalewski—nie mam obecnie czasu, później. — Usiłował zaakcentować gorączkę, jaka go owładnęła. Skoro Anka pojawiła się na sścieżce, Stalewski doznał jakby oślnienia.

— „Dobrze, że idzie, niech widzi, jak się tworzy“.

Lękał się, że odejdzie swoim zwyczajem, i zrobiło mu się na tę myśl smutno, przykro, tak jakby słońce nagle zniknąć miało.

— A to mnie podrażniła wczorajszem swem głupiem gadaniem...—pomyślał, jakby chcąc to uczucie usprawiedliwić przed sobą.

Ale Anka nie odchodziła.

Oparła się o pień drzewa i wielkimi swemi, dyamentowemi oczyma patrzyła na Stalewskiego, na płótno, na słodki oleodruk świętej, majaczący wśród jabłoni.

Stalewski rysował dalej, lecz wzrok jej mieszał go i gnębił. Poprawiał więc tylko, zacierał, wreszcie rzucił węglem z wyrazem zgnębienia.

— Nie wiem, co ci się stało—wyrzekł do żony—ale pozujesz dziś niemożliwie, co chwila zmieniasz układ draperyi i ukazujesz mi się w innym oświetleniu... Moznaby przypuszczać, że czynisz to umyślnie...

Załamał ręce, aż w stawach zatrzeszczały.

— I postawić w moich warunkach Rafaela, niech maluje!... — wykrzyknął.

Anka czuła wybornie, iż Stalewski pozuje w tej chwili dla niej, lecz nie odeszła, nie ruszyła się i nie wyrzekła ani słowa. Stała ciągle, oparta o drzewo, tonąc stopami w delikatnej, szmaragdowej trawie.

Przypomniała sobie tę minutę, tę sekundę objawienia jakiegoś żalu, smutku, pragnienia, którą odczuła przed świtem na twarzy Bajazza o arlekińskiej atmosferze, i to ją przykuwało do miejsca.

Zdawało się jej, że w jego szarpaniu się i denerwowaniu przed stalugami wyczuwa jakąś nić, coś analogicznego, łączącego się z jej przedświtową wizją dzisiejszą.

Stalewską zarzut męża uklął do żywego. Nie poznawała go. Był zawsze dla niej uprzejmy i pełen zachwyty!

Chciała odpowiedzieć, lecz powściągnęła się. Zebrała wszystkie siły i usiłowała stać nieruchomo. Wzniosła oczy do góry i rozchyliła usta. Była śmieszna tak bardzo, iż Anka, która przesłiznęła się po niej wzrokiem, nie mogła się powstrzymać od lekkiego ironicznego wyrazu. W tej samej chwili wzrok Stalewskiego przemknął po twarzy dziewczyny i wyczuł jej ironię. Podnieciło to więcej jeszcze jego zdenerwowanie.

— Nie, nie — zawołał — jesteś zupełnie *à côté...* nie czujesz duszy świętej i robisz grymasy. Jakże chcesz, ażebym ja trafił na istotny wyraz... jakże chcesz, żebym ja mógł z twojego grymasu stworzyć duszę świętej Katarzyny? Zkądże ją wezmę?...

Usiadł na krześle i opuścił rozpaczliwie ręce.

Był tragicznie komiczny w tej chwili, lecz nie czuł komizmu — czuł tylko tragizm swej istoty i zanurzał się w niego. Cierpiał na seryo, iż nie miał zkad wziąć owego duchowego wyrazu na twarzy panny i męczenniczki!

Było to dziecięce, nadzwyczajnie młode i zarazem przerażająco starcze. Było to niedoleźtwo dziecka i starca zarazem. Anka nie sądziła, że dojsz do tego można.

Stalewska namyślała się chwilę, jak jej postąpić wypada. Wreszcie przyjęła konwenansową drogę. Uśmiechnęła się słodko i z kocim przymileniem wyciągnęła tłuste łapki.

— Już wiem! — zawołała ze sztuczną wesołością — już wiem! jesteś głodny i dlatego jesteś tak

zdenerwowany. Rafael pewnie także na głodno nie malował. Idę przyrządzić śniadanie.

Porwała się z miejsca, zrzuciła białą muślinową zasłonę i draperyę z miękkiej wełny. Świętość znikła, ukazała się zwyczajna kobieta w matince błękitnej i krótkiej spódniczce o wypranych źle koronkach.

— Biegnę! — zawołała i przez trawniki, pomimo tuszy, puściła się ku domowi, zabierając z sobą dzienniki i listy.

Stalewski wrzucił ramionami i stał jeszcze chwilę, patrząc na zarysowane węglem płótno. Wreszcie zapalił papierosa i zaczął kołować niespokojnie pomiędzy jabłoniemi. Wyglądał tak, jakby szukał natchnienia na miejscu swego modelu. Stawał, milczał posepnie, puszczając błękitne wstęgi dymu.

Słońce kładło na jego postać prześliczne złote plamy. Gdy dotknęło jego głowy, na której falowały srebrnawe, dziwnie piękne włosy — złoto stapiało się w srebrze i wytwarzało nieokreślony amalgamat drobnych blasków i iskerek.

Wreszcie stanął nieruchomy, oparty o pień jabłoni, był naprzeciw Anki i patrzył na nią szeroko rozwartemi oczyma. Ona nie odmówiła mu wzajemności wzroku. Zajrzeli przez chwilę w głąb swych źrenic z taką siłą, iż przejęło ich dotkliwe uczucie bólu. Wzrok Stalewskiego był niespokojny, Anki przejrzysty i jasny.

Następtwem tego spojrzenia były słowa, wyrzucone raczej, niż wymówione przez Stalewskiego:

— Czy i pani sądzi, że dlatego jestem podrażniony, iż nie jadłem drugiego śniadania?

Natychmiast odparła Anka:

— Nie, ja tak nie sądzę!

Nie spojrzal nawet na nią, ale odparł krótko:

— Dziękuję pani!

I po chwili dodał:

— A czy rozumiesz pani, dlaczego się to dzieje?

I znów Anka odparła posłusznie:

— Rozumiem...

— Wiesz pani więcej odemnie samego, bo ja siebie poznać nie mogę.

— Postaraj się pan.

— Napróžno.. usiłuję, nie mogę. Winna temu noc nieprzespana... za dużo dziś myślałem.

— A może za mało!

Skrzyżowały się znów ich spojrzenia, lecz Stalewski umknął ze swoim wzrokiem, jakby lękając się bliższego porozumienia duchowego.

— Stanowczo za dużo — odparł z uporem — natchnienie ucieka od tych, którzy rozumują. Istnieje poddanie się chwili — oto wszystko. Chciałem porozumować mój obraz i rozproszyłem siłę twórczą...

Oczekiwał śmiechu, ironii — Anka zwykle tak przecinała jego słowa. Tymczasem Anka słuchała go, słuchała i widocznym było, że przetrawia jego słowa. Ogarnął go nagle nadzwyczajny czar, jaki uczuwa się w zbliżeniu kobiety, umiejącej nas wdzięcznie wysłuchać. Ciepłszy prąd przeniknął jego duszę. Spojrzał ku stalugom i ogarnął go żal, smutek bez granic. Te pokreślone linie wydały mu się nadzwyczaj marne. I twarz jego na chwilę, na mgnienie oka przybrała ten wyraz, jaki miało widmo Bajazza, unoszące się wśród wirującego koła banalnych arlekińskich trójkątów.

Tę chwilę odczuła znów Anka. Czekala na nią. Chciała z widma dostrzedz ją w rzeczywistości.

I dostrzegła.

Lecz równocześnie „mistrzowska“ istota Stalewskiego skarżyła się szablonem słów:

— Gdybym miał model... odpowiedni model...

— Nie — przecięła tę skargę Anka — tu chodzi o zupełnie coś innego.

— O co? o co?

Anka zawahała się.

Czy miała przemówić do tego Bajazza mową swojej duszy, czy powinna była, wniknąwszy w głąb jego ducha, starać się rzucić mu jasność gwiazdzistą, aby noc jego i szamotanie rozproszyc? W tych jednak kilku słowach, w intonacji tego „co?“ było wyciągnięcie ręki z trzęsawiska ciepłego i wygodnego, na które społeczeństwo narzuciło stopy bobkowych liści, imitujących laur. I zadźwięczały przed nią słowa Narbuta:

— Co z temi duszami robisz?

Arlekin-bajazzo stał przed nią pomięty w swej pysze i zmęczony.

Chwila była ważna i może jedyna, twórczość artystyczna Anki miała pole dopełnienia się misyjnie, nie tylko twórczością uwięzienia kilku plam na płótnie. Mogła stać się artystką rzeczy żywych, wielkich, potężnych.

Stała przed pierwszym takim dziełem i chwilę brakowało jej odwagi.

— Czy zdołam? — pomyślała — czy zdołam?

Lecz od strony domu dały się słyszeć pośpieszne kroki. Rozplomieniona, drżąca Stalewska, ubrana pośpiesznie, jak do wyjścia na miasto.

Zmieszana była nad wyraz wszelki.

Z jej jedwabnego woreczka dostrzegła Anka wyglądający numer poranny dziennika z artykułem Narbuta.

— Sniadanie gotowe, ja wychodzę.

— Dokąd? — zapytał Stalewski.

— Nie pytaj. Dowiesz się później, to w twoim interesie. Honor twój zagrożony, artyzm, przyszłość — wszystko. Biegnę odrobić... Banda szakali, wyrzutków, próżniaków...

— Ależ...

— Nie pytaj. Ja czuwam. Biegnę. Panno Anno,

proszę, włóż pani zasłonę, draperię, przybierz moją pozę... widziałaś? tak.

Skladała ręce, wywracała oczy pośpiesznie, gorączkowo.

— Zresztą mąż ci pokaże. W ten sposób podmalujesz postać, tło. Nie stracisz dnia. Jutro ja pozuję do twarzy... dziś — muszę... Co za cios!

Przebiegła ogród i znikła w szeleście falban.

Skrzypnęła brama — powiało nad sztachetami białe jak puch pióro i znikło wszystko w tumanie wiru, pędząc w stronę miasta.

W ogrodzie pozostał Stalewski i Anka.

Po raz pierwszy w życiu Stalewski uczuł ulgę na myśl oddalenia się żony. Co więcej, nie zatroszczył się zbyt o ten zagrożony honor, który znalazł obrońcę w osobie żony.

— Poradzi sobie — pomyślał i znów zwrócił się ku Ance.

— Pani twierdzi — podjął, zapalając drugiego papierosa — że ja za mało myślałem. Ależ po raz pierwszy oddawna widziałem świt.

— Ja także go widziałam...

— Więc i pani nie spałaś? Ale pani jesteś młodsza, myśli twoje obracają się w ciaśniejszym kole, moje zaś sprawiają mi duże uciążenia. Gdybym zamiast myśleć nad obrazem, przyszedł do niego nieprzygotowany, tak jak zwykle, uchwyciłbym go odrazu... Tak, gubię się. Oto, do czego doprowadzają wasze głębie.

Anka chciała odejść i odmówić mu poprostu daniny słów. Chciała pozostawić go samego z jego burżuazyjną głupotą.

Lecz już było zapóźno.

Nie mogła.

Podjęła z ziemi porzuconą zasłonę.

— Czy chcesz pani pozować? — zapytał skwapliwie Stalewski — chciej, proszę! Nie wiem dla-

czego, ale zdaje mi się, że z panią mi będzie łatwiej dojść do ładu.

Zbliżył się do stalug, ujął za węgiel.

Czekał.

Lecz ona zasłonę zebrała szybko w kłęb, jakby śnieżnej, rosnącej na polach kulbawy, i rzuciła ją precz w trawę. Przypadła tam i pozostała jak nieużyteczny teatralny lachman po odtańczonym balucie.

Stalewski nie widział jej ruchu.

Z zakłopotaniem pewnym, nader wdzięcznym w mężczyźnie, starał się uniknąć spojrzenia w stronę Anki.

— Postaram się wnikać w głąb duszy — wyrzekł nareszcie z przymuszonym uśmiechem — i dowiodę pani, że potrafię.

Wymówił te słowa cicho, jakby oczekiwał na wybuch ironii, lecz nie słysząc głosu Anki, zdecydował się spojrzeć w jej stronę.

— Dlaczego pani odrzuciłaś zasłonę — zapytał — czy nie chcesz mi dopomóc do stworzenia pięknego dzieła?

— Właśnie dlatego, że chcę panu dopomóc, pozować ci nie będę.

Gorąco i głośno wymówiła Anka te słowa.

Czuła, iż teraz właśnie następuje przełom w jej zewnętrznym życiu. Że teraz oddawać zaczęnie innym to, czem przepoiła swą istotę w subtelności odczucia wielkiego piękna.

— Nie, nie będę pozowała — podjęła, patrząc na niego prosto i starając się siłą wymowy przelać i w swe dyamentowe, połyskliwe oczy. — Chcę, pragnę, ażebyś pan w duszy swej własnej znalazł to, co nazywasz modelem. Przywołaj na pomoc rozproszoną część widm, które musisz mieć dokoła siebie. W tym świecie, który masz dokoła swej artystycznej techniki, a którego widzieć nie chcesz, nad-

leci na twe zażądanie cały rój form i barw. Wybieraj między niemi. Duch twój ci wskaże, które widmo, przez pryzmat twej duszy przepuszczone, jest pożądaną dla ciebie w tej chwili formą. Stwórz, a nie kopiuj. Z powietrza, z blasków słońca, z gwiazd, ze srebra księżycy, z przeżytych łez, zwątpień i bólu utkaj swe postacie, daj im życie, pozwól im wydobyć się z mgły, w której je trzymasz zawistnie na uwięzi...

Zatrzymała się, niepewna, czy jest odczuta, czy jest zrozumiana. Stalewski patrzył na nią szeroko rozwartemi oczyma. Ręką do stalug przygnał. Zdawał się kamienieć.

Ujęła krzesło i usiadła blisko niego. Z zapалу, gorącości, przechodziła teraz w cichy wdzięk kobiecy.

— Czy sądzisz pan — zaczęła znowu, a jasność słoneczna wydobywała z jej włosów miedziane blaski — czy sądzisz pan, że dobrze oddana postać żyjącej istoty, zasłona iluzji kupionej w sklepie, udrapowana wełna, poruszy ducha widza? Zdziwi go twoja technika, sztuczka wirtuoza i zginie wszystko w tej doskonałości, którą podbijać zechcesz zdziwienie tłumów. Niech twoja święta nie będzie odtworzeniem manekina, ale wykołysanem twej duszy technieniem, a pobiegnie za nią duch tłumu...

Stalewski zmarszczył brwi, zagryzł niemal do krwi wargi.

— Nie umiem bez modelu...—szepnął jakby do siebie.

Nie poznawała go. Tryumfująco, a zarazem z pewną słodyczą ogarnęła go wzrokiem.

Nie szarpał się, nie rzucał. Nie przyszedł jeszcze do jej ręki, jak gołąb zraniony, ale nie szukał oporu w gniewie i szyderstwie.

Pochyliła ku niemu swą śliczną twarz, poważną i pełną idealnej słodyczy.

— To są mrzonki — wyrzekła — ta nieumiejętność. Przypomnij sobie świętą Katarzynę Puviss de Chavannes'a, jaka świętość mistyczna, jaka tajemnica duchowa bije z tego źle narysowanego dziełeczka. Ten fresk łączy w sobie podwójne duchowe istnienie. Jej i jego. Czy mnie pan rozumiesz?

Stalewski nie odpowiedział. Patrzył wprost na jej twarz i zdawał się ważyć nie tylko słowa, ale i jej spojrzenie.

— Spróbuj! — wyszeptała Anka — spróbuj!... Wskazała mu ręką pokreślone płótno.

— Precz z tem!... to nie kwiat twej i jej duszy, to sztuczka, w której pan zastępujesz aparat fotograficzny. Co ma wspólnego postać żony pana z mistyczną dziewczyną, całą przepojoną wniosłem technieniem ezoteryzmu? Co?...

Czuł widocznie słusność jej myśli.

Powiała na niego w dobrą chwilę, gdy był podatniejszy do przyjmowania jej słów, pięknoscią swego pojmowania arcyzmu, zaczerpniętego z duszy człowieka.

Wstał ze snu już dziś niespodzianie w takim kregu wyczekiwania na jakieś przejasne objawienie.

Przychodziło to na niego późno może, lecz — przychodziło wreszcie.

Tak jej się zdawało, gdy patrzyła na niego w tej chwili, i ogarnął ją żal do niej samej, że przeszła mimo tej napozór opustoszałej z wyższych pragnień istoty — a tak łatwo — z taką dziecinną wprost łatwością mogła ująć ją i wyprowadzić z mazarów, w których brodziła.

Ta łatwość poddania się Stalewskiego przerażała ją prawie.

Zrozumiała wtedy, jak wiele jest istot ludzkich, wyczekujących na tę godzinę zainteresowania się nimi, pochyleń się ku nim ze słowem podniosłym i czystym.

Przejrzała, iż zabierając swe zdobycze i jasność dokoła i przechodząc ostrożnie wśród tłumu, w egoistycznej obojętności zamknięci przechodzimy często obok wielkiej, uspiętej pozornie tragedii niepospolitej duszy, pragnącej bezwiednie, instynktowo iść za nami.

Nie zdziwiła się wcale, gdy Stalewski pchnął stalugę i wywołując na zmienioną swą twarz sztuczny uśmiech, podobny do uśmiechu żony, rzucił:

— To są wszystko mrzonki, sentymenty, egzaltacje...

Ona powstała także, mimo tych słów pewna zwycięstwa. Było to banalne, zdawkowe ocalenie swej duszy i stanowiska uznanego mistrza. Wiedziała, iż w samotności ziarno, rzucone przez nią, kielkować powoli zacznie.

Szło teraz o to, aby ten człowiek znalazł swoją „samotną godzinę“ i w niej wniknął w siebie... Jeżeli znajdzie pustkę, powróci do dawnego trybu twórczości, jeżeli zaś spotka się z uspiętymi skarbami, które gwałtem, siłą zmuszał do letargu, wydobędzie je z radością, pełen ekstazy i mocy.

Ożyje hymnem twórczym, tem potężniejszym, że tak długo gnębionym i na milczenie skazanym. I bić będzie w przestwór ten hymn wielkimi działami, opromienionymi przejasnieniami blaski! — Do tego wszystkiego dojdzie po chwilach długich pasowań się i męczarni. Wić się teraz będzie w pozornej nieudolności, odwracając się ze wstrętem od tego, co tworzył, a lękając się wejścia w nowy olśniewający świat ducha.

Lecz — wejdzie!

Do głębi swej kobiecości zwraca się teraz Anka, szukając rady, wskazówki. I z czarującym gestem nadzwyczajnego oddania się, kobieta wyciąga rękę.

— Odchodzę, pomyśl pan nad tem, co powie działam!

Stalewski bierze jej rękę w swe gorące, drżące trochę dłonie.

— Jesteś pani egzaltowaną... — mówi, uśmiechając się z przymusem—egzaltowaną... Idziesz cała w abstrakcyach, a jeżeli chcesz być kimś, to idź po realnej drodze... Duch, piękna rzecz — ale...

Urwał, bo czuł, bo widział z jej oczu, że ona patrzy w głąb jego duszy i widzi tam inne myśli, które już nurtują go bezwiednie. Wypuścił jej rękę ze swoich dłoni. Sądził bowiem w małostkowości swojej, iż ta świeża ręka kobieca oddziaływa na niego i poddaje mu jakieś niepokojące go prądy.

Co więcej, uczył się tak wyczerpanym, iż zapragnął, aby Anka odeszła, zachowując wszakże całą świadomość, iż za chwilę zabraknie mu znowu jej obecności.

— Gdzie pani idzie? — zapytał.

— Nie wiem, przed siebie...

— Na studia!

Uśmiechnęła się rozumnie, a zarazem smutnie.

— Tak... na studia.

Zwróciła się do furtki, zabierając z sobą swój duży, słomiany kapelus.

Poczuła nagle, że ktoś błaga ją wzrokiem, aby się ku niemu zwróciła.

Stalewski stał ciągle na tem miejscu, na jakim go zostawiła, lecz patrzył na nią uporczywie i prawie błagalnie.

Zapytała bezwiednie.

— Co panu?

— Nic... tylko chciałem, aby pani mnie dobrze zrozumiała. Powiedziałem na studia, ale wiem, że

pani nie pójdzie zbierać „szkiców“ razem z temi dzieciakami, które włóczą się tu, gwizdzą mi przed kratami. Ja chcę tylko, ażeby pani wiedziała, iż ja rozumiem drogę, na jakiej pani swe studia zbiera...

Radość opromieniła jej twarzyczkę.

— Rozumiesz pan?... tem lepiej!

— Dlaczego, tem lepiej?

— Bo pójdziesz nią także.

Rzuciła te słowa gorąco, a zarazem nieśmiało. Ogarniał ją jakiś lęk nad tem, co czyniła.

Lecz on śmiać się zaczął.

— Ja?... niech mnie Bóg broni! Za wiele mam obowiązków...

Śmiech urwał się na tem słowie, jak nitka szarpnięta. Było w tem coś bolesnego, tak, że Anka zawołała:

— Największy obowiązek masz pan względem swego ducha... nie gnęb go!

Odwróciła się szybko i wybiegła prawie z ogrodu, nie chcąc już banalnych i płaskich słów.

Za nią biegła smuga wielkiej światłości duchowej, jaką ta kobieta zawsze po za sobą snuła.

XIII.

Drogą, wiodącą w górę, do lasu podmiejskiego szła Anka w złotej aureoli swego kapelusza.

Miała ta dziewczyna dziwny wdzięk w swym chodzie, śliczne rozkolysanie fal sukni, kryjącej drobne stopy.

Szła rozumnie i z gracyą, szła w przestrzeń

prosto, nie zbacząc, nie szarpiąc nerwowo swej postaci, tak jakby płynęła nad ziemią, jakby ją niosła jej własna wola i siła.

Zdaleka majaczyły drzewa ciemne lasu, którego wnętrze było dziwnie czarne, dziwnie ponure. Zkąd pochodził ten cień, niepodobna było odgadnąć. Gałęzie drzew były przezrocyste i koronkowe. Duże osiki drżały w przestrzeni. Całe szeregi młodych brzoź i białych pni o delikatnych gałęziach powinny były rozjaśniać tę zawrotną ciemnicę. Pusto było, smutno, głucho. Nawet słoneczne południe letnie nie rozlewało ciepła i jasności.

Był to jakiś kąt świata odrębny, wilgotny, o mchach miękkich; rozlazłych pośród kamieni, które przyległy do ziemi jak martwe płazy. Nie kwitły tu dzwonki, nie zaczerwieniła się jagoda. Tylko czarna ożyna zwieszała swe żałobne, ciemne grona, z których ociekał czarny sok, jakby krew z serca ludzkiego.

W głębi lasu nie świergotało żadne ptaszę, w rzadkich strugach słonecznych nie tańczyły farandole owadów. Coś jęczało w oddali cicho, cichutko. Ni to głos ptaka, ni to echo ludzkiej piosenki, ni to skarga szumiących drzew.

Jęczało coś i urywał się ten jęk nagle po to, aby zacząć nanowo.

Anka ten jęk kochała, bo był tajemniczością i urokiem tego lasu. Był jego duszą i zwątpieniem! Przebiegał wśród białych pni brzoź i drgał w listkach osiki. Rozwłóczył się po rozmokłych mchach i do kamieni przypadał, pelzając pod ich nieruchomem, szarem cielskiem.

Anka do lasu żałobnego szła po ten jęk, wsłuchiwała się weń i zabierała z sobą. Niegdyś malowała tę Duszę lasu, wśród pni przypadłą do mchu w postaci bardzo zmęczonej kobiety.

Szare jej ciało wtulało się w szare mchy, usta w pół otwarte konały jękiem.

Była to niewolnica, której po za kraty drzew, gałęzi wymknąć się nie wolno. Snuła się w ciemności, dźwigając ciężar rosnących drzew. Konarami swemi więziły jej stopy, gałęziami gniotły jej królewską głowę. Pelzała teraz po mchach beznadziejnie smutna, wiedząc, że nie znajdzie nigdy najdrobniejszego kwiatu, aby wpleść go w swe ubogie włosy. Szata, z kory wydarta, opadała w szmaty.

Nawet na korze tej piorun nie wypalił swych tajemniczych, kabalistycznych znaków. Kora była przegniła w ciemni, w tęsknocie za słońcem.

I oczy Duszy lasu miały na obrazie Anki taki bezmiar tęsknicy na w pół wiejszej zgnilizną zrezygnowanego trupa.

— O! jaki smutny był ten szmat podmiejskiego lasu!

O jakaż przesmutna była jego dusza!

Mówiono, iż w tym lesie kryją się zwykle zbrodniarze po dopełnieniu zbrodni.

Od czasu do czasu urządzano obławę, opasywano las żandarmskimi mundurami i rozpoczynano tragiczną grę.

Dusza lasu wtedy wciskała się tak mocno w szare mchy, iż nie wyczuł jej nikt. Deptano po niej ciężkiem ludzkim obuwiem. Deptano po jej smutnych oczach, niosąc zamiast słońca, o które prosiła, brutalność praw społecznych. Często pod korą jej królewskich lachmanów ukrywał się człowiek-zbrodniarz, człowiek-liść, miotany przeznacze-

niem swem i drżał i lękał się — on, zwierzę krwią niedawno przepojone, teraz taki drobny, mały, taki nędzny w swym strachu, taki inny, drugi — nie ten za którego odpowiadać będzie.

Człowiek-liść!...

I Dusza lasu czuje, jak się do niej tuli ta istota, na zagładę skazana i Dusza lasu dziwi się i drży sama, czując, jak źle, jak rozpaczliwie źle tym, którzy mają promienie słoneczne chłonać w siebie jak strugę wody, którzy żyją w jasności słońca i srebrze księżycy, którzy mają na swe rozkazy całe armie kwiatów i wonią ich upajać się mogą, którzy nad głowami swemi widzą rozpięte czarowne luki tęczy, a przed nimi drży szmaragdowa tafla jezior, lub turkusowy błękit mórz.

Wszystko to mają ludzie depczący w tej chwili szarą, mchową, lasową Duszę, ludzie biegający z nawoływaniem i krzykiem wśród pni brzoź białych i drżącej osiki. Krwią dyszą ręce mordercy, krwią dyszą zanurzone w mech.

Chwila krótka, walka prawie cicha, chrapliwy jęk, brzęk kajdan i wszystko znika w oddali, w słońcu, w kwiatach, w złotych lanach zboża.

Tragiczna wola przeznaczenia spełnia się, drożną wlecze się gromadka ludzi ku naznaczonemu z góry celowi.

Nie znajdują w sobie ani zacięcia, ani siły, ani rozkoszy ze spełnionego czynu. Idą zgarbieni i smutni, idą ślepi na Piękno.

I Dusza lasu patrzy za nimi, a na tę krótką chwilę nie pragnie, nie zazdrości, nie pożąda wychylenia się po za kraty pni i gałęzi. Sądzi, że złoto słońca i zbóż, czerwień maków i koralu, biel śniegu i pereł, srebro księżycy i rosy drżącej na listkach kwiatów, barwy tęczy i motyli skrzydeł, błękit morskiej toni mgieł, rozwianych wśród gór, że cały czar przyrody, jej tryumf i jej piękno, jej ukochanie

i żaloba, jej potęga i pieszczotliwy wdzięk, jej żar rozkoszy pelen i chłód stygnących grobów — to wszystko jest widocznie za drobne, za małe, gdy się w niem żyje codziennem istnieniem.

Egoistyczna potęga drobnych ludzkich interesów zwalcza wielkość czarownego otoczenia. Wybija się na pierwszy plan, zajmuje tron mocarza, zasłania wszystko, co może dać prawdziwą rozkosz i upojenie.

Skłębiona masa ciał gryzie się wzajemnie, lub cała teorya rozszalałah istot pędzi... na żer.

Padają jedni, po nich biegną drudzy.

Rozwiane ich szaty szeleszczą, zagłuszając głosy wieczystej Harmonii, pędzą jak Demony, gnane bezustanną wichurą, mściwą i nieubłaganą.

Jeżeli z tego tragicznego stada odłączy się jakaś jednostka i w ciszy i majestacie odejdzie na równiny, lub wejdzie na szczyty i tam w kontemplacyi dopełni komunii swej duszy z duchem przyrody, zaszumią z ironią litosną dokoła niej szaty biegnących na żer, rozpasanych stad.

Zaszumią, płosząc ciszę, zasłonią widnokrąg, roztrącają mgłę marzeń, którą się owinie kochanek prawdziwego Piękną.

I wielki smutek ogarnie go, bo niema kąta na ziemi, w którym człowiek mógłby ukłęknać do ślubu z ukochanem przez niego Pięknem, ukłęknać w ciszy i odosobnieniu. Jak grad posypią się na niego wytwory egoistycznych, drobnych interesów życiowych i te nie dozwolą mu wyczuć jednej chwili prawdziwej ekstazy, której pożąda duch, dążący ku udoskonaleniu.

Szeleszczą rozwiane skrzydła żerujących stad.

Z jaką biegną szybkością, nogi ich toną we wnętrzościach tych, którzy biegnąc przed nimi, padli.

Nic ich nie wstrzyma w wichrowym rozpędzie.
O smutne, żerujące stado!

.....

Anka kocha ten las, głębię jego i martwość smutną.

Wchodziła po za kraty drzew, jakby szukając błakającej się tęsknoty. Wnosiła z sobą blask i świeżość słońca. Lecz szybko gasła ta świeżość, zanikał blask.

Anka bladła i zielonawe światło kładło na jej twarz, na jej suknię, na jej ręce, zgniaławe, trupie tony.

Mimo to dziewczyna szła dalej, jakby zanurzając się w głąb opuszczonej, omszałej studni. Nie lękała się, stygła powoli tylko w swej sile życiowej.

Odczuwała w tym lesie jakby przedsmak śmierci. Zamykała oczy, idąc tak z wyciągniętymi rękami. Mówiła sobie: „tak zastygać będę w grobie“ — i na ustach jej wykwiłwał uśmiech, mający czar żalobnych irysów lub bratków, przytulonych do grobowej płyty.

I dziś, z oczyma zamkniętymi błędzić zaczęła, zanurzając się coraz głębiej w ciemnię lasu. Wyciągniętymi rękami wyczuwała pnie drzew i omijała je. Delikatnie obute jej stopy tonęły w wilgotnym mchu, a gałęzie sucho czepiały się brzegu jej sukni. Ona szła ciągle, niosąc swój uśmiech smutny, wsłuchując się w jęk, który grał wśród gałęzi drzew.

— Może ją znajdzie, może ujrzę wreszcie! — myślała, opanowana teraz całą potęgą wżycia się w tę Duszę lasu, którą wizyjnie odtworzyła w chwili natchnienia. Zdawało się jej jednak, że nie oczami ciała może dostrzedz uwiecznioną i bezsłoneczną niewolnicę — lecz że odosabniając się od zewnętrznego świata,

dostąpi szczęścia, które lśniło w jej oczach szlachetnością, mistycznego blasku.

Zapomniała o Stalewskim, a Narbucie, o porannych swych postanowieniach. W tej chwili szła sama wśród swych snów i wysnutych legend. I wiała ku niej wielka mistyczna potęga życia bez skaz i bez słów. Chłonęła ją w siebie.

Lecz jeszcze oprócz tych wrażeń przyłączyły się inne. W miarę, jak zagłębiała się w las, zdawało się jej, że powoli odpada z jej ramion jakiś ciężar, to coś życiowego, co wlecze się za nami z takim uporem i grozą. Wśród pni i uschłych gałęzi ginęła reszta jej trosk życiowych i niepewności. Zagłębiała się w chłodny spokój i nagle, jak kwiat bez nazwy, jak kwiaty, strojące balustrady indyjskich grobowców przed jej myślą, jej duszą spragnioną i drżącą stanęło wyobrażenie śmierci.

Zacisnęła jeszcze silniej powieki, nie przejęte grozą. Uczuła śmierć, krążącą dookoła, jak przedza niepochwytą. Wnikała w nią z jej oddechem i przepajała ją całą.

— Śmierć! śmierć!—wyszeptała Anka.

Nie przestawała się uśmiechać, lecz uśmiech ten coraz więcej był smutny, jakby we łzach poczęty.

— Śmierć!... moja śmierć!...

Igrała z tem technieniem śmierci, ona, dziecko w zaraniu życia; ona, która bezwiednie, instynktowo posiadała wielką filozofię, rozwiązującą zagadkę istnienia.

Wyciągała ręce ku tej nowej formie bytu, jakby wyciągała dłonie po nieznany, lecz piękny kwiat, woniejący po drugiej stronie przepaści.

— Śmierć!...

Deptala tym uśmiechem, tym szeptem cały żalobny aparat i komedię egoistycznych łez, któremi cywilizacja okryła owo tryumfalne wyzwolenie się

z nędzy i małości życia. Dziewczyna w zakresie i uroku młodego ciała witała z rezygnacją i smutną, lecz nie rozpaczliwą ekstazą—śmierć, przed którą bronią się starcy z wysiłkiem szalonej rozpaczki.

— Śmierć!...

Ręce jej wyciągnięte trafiły na chłód marmuru. Palce zanurzyły się w lepkiej wilgoci. Przez chwilę pochylona nie otwierała oczu. Ręce wyczuwały coś niezwykłego, coś, od czego biegły lodowe prądy ku jej sercu. Technienie śmierci wzrastało z niezmierną potęgą. Uśmiech znikł z ust Anki.

Otworzyła oczy.

Trzymała ręce na głowie trupa, na którego skroni zastygła masa krwi.

Leżał, a raczej siedział na pniu ściętego drzewa, który formował rodzaj fotela.

Przechylony w tył, z ustami szeroko rozwartymi, patrzył na baldachim gałęzi martwemi, dziwnemi oczami.

Lecz widać było ślad ogromnej grozy w jego rysach ściągniętych, przestraszonych, równający się obłędowi, który strasznym technieniem zastygl na jego twarzy.

Ten człowiek przez jedną chwilę przeżył całe swe istnienie, dokończył je w strasznym pędzie myślowym i wysiłku ulatującego ducha.

Na mchu z ręki opuszczonej wypadł rewolwer.

Anka nie cofnęła się ani na krok jeden. Stała wciąż z ręką na głowie trupa i powoli poznawała go.

Był to jeden z bandy „młodych“, jeden z najzdolniejszych, z tych, którzy snuli ze swej duszy delikatną nić rozpaczliwych snów. Widziała go w redakcyi, a potem słyszała, jak czytał swą nowelkę na literackim raucie. Smukła jego postać, owinięta w czarny, długi surdut, miała w sobie coś z wizyi Hoffmana. Trójkąt twarzy bladej i ściągłej, napo-

zór spokojny, sprowadzał wzrok patrzącego w jakies podrażnienie niezwykłością swoją. Głos cichy, monotony, bez żadnej giętkości, spadał różgą cienkich nitek, niżąc słowa, malujące silnie i potężnie przegroźne wizye udręczonej duszy. Po odczycie przesunął się obok Anki lekko, cicho jak widmo i pozostawił jej wrażenie czegoś, co się snuje w oczekiwaniu swego przeznaczenia.

Myślała o nim często i widziała go w seledynowej atmosferze jednotonowej, całego ciemnego, smukłego—z twarzą, mającą niewyraźnie, z twarzą, która nie promieniała światłem, lecz zazdrośnie ukrywała je w głębi swej maski.

Mistycznie zaciśnięte usta, po wysączeniu całej strugi smutku i zwątpienia, miały w sobie za życia wielki chłód grobu.

Anka myślała o tym młodym chłopcu, prawie dziecku, który wyprzedził duszą swe ciało, i jak wzdardliwy ksiądz obchodził się z niem ironicznie, a nawet pogardliwie. Myślała, że zbyt wcześniej wszedł w rozterkę z sobą i swem istnieniem, lecz wielkopłomienna twórczość tego mózgu ułatwić mu mogła rezygnację i dać możność wypowiedzenia się z tem, co go dławilo. Jego „Seryą“, o wielkiej Tęsknocie, drgało każde smutne serce. Pod wyciągniętymi jego rękami wibrowały dusze, płaszcz jego smutku okrywał samotne godziny tragicznych istnień. I często Anka myślała, że ten człowiek musi mieć chwile wielkiej rozkoszy, odczuwając swą twórczą duszą, te piękne, szlachetne drgnienia, jakie wzbudzał drgnieniami swej przesmutnej, a tak potężnej mowy.

Dziś stała przed nim, martwym, zgladzionym własną jego dłonią, stała przed jego ciałem, jakby przed jego samobójczą mogiłą.

Przyszedł w noc ciemną i zniszczył to, co da-

wało mu możność oddziaływania bezpośrednio na inne żyjące istoty.

Miałże on prawo do tego, on, którego ciało było harfą eolską, na której duch jego śpiewał to, co zbierał z piękności i światła?

Miałże on prawo?.. nie byłże on raczej niewolnikiem swego posłannictwa? nie czułże on, iż kwiatom, które dają barwę i woń, nie wolno zwiędnąć przed kresem? że drzewom, z których w upalny dzień splywa na ziemię struga cienia, nie wolno rozwiać gałęzi w innym kierunku; że nocom gwiazdzistym, rwącym ducha w przestworze, nie wolno zasnąć się ciemnią, a morzu przestać jęczeć, jeśli ten jęk w tęskniącą duszę ukojeniem wpływa?

Tą samą potęgą był on—tym kwiatem, cieniem, jękiem, nocą gwiazdzistą. Przez pryzmat jego tęsknicy przepływały i krystalizowały się uczucia innych tęsknic. On mówił za innych, mówił ich słowami, skarżąc się sam. Nadawał formę i życie bezsłownym skargom i smutkom. Przynosił ulgę i wprowadzał w czarowny świat szlachetnego bólu. Szedł pierwszy przed korowodem zbłąkanej na ścieżkach milczących cierpień ludzkości.

Harfę miał w swych ramionach, o którą uderzały jego skrzydła i korowód rozplakanych i rozteskionych dusz chwytal dźwięk jego strun i odnajdował w nich swe bóle i zwątpienia. I kochał go ten korowód dusz smutnych, bo przez niego rozumiał, iż w smutku jest Piękno, w żalobie naszych serc jest szlachetna chęć wielkich, silnych czynów.

Harfę miał...

Lecz odczucia własnego posłannictwa w nim nie było.

Nie rozumiał, dlaczego mu dozwolono iść na czele smutnego orszaku.

Slepy był.

Nie chciał, jak inni, ci wielcy, pojąć, że jeśli się skarżył, to nie skarżył się nad sobą — lecz głos jego był wypowiedzeniem się skargi innych. Nie był „milionem“ i nie czuł za „milion“, lecz czuł za siebie jednego, i dlatego przyszedł do ciemnego lasu po śmierć, po zgon.

Bo zbyt silna była ta tęsknota, zbyt potężne jej Piękno. Słaba jego pierś nie zdołała wytrzymać tej potęgi. Nie otworzył mu nikt oczu, nie powiedział: tyś narzędziem, tyś harfą, na której ludzkość jęczy swe cierpienia... poddaj się przeznaczeniu twe-
mu, drzyj, wibruj, żal się... bo to inni przez ciebie się żalą. Ty bądź dumny, i miej w tem radość i rozkosz wielką, żeś tą lutnią, tą struną, tym duchem, zdolnym do odczucia i wypowiedzenia przeogromu bólu całego twego społeczeństwa...

Nie chciał jednak odczuć tej rozkoszy, nie chciał być tym dumnym i zdolnym, wiedział tylko, że nie zdoła iść dalej z ciężarem, który na niego jednego był za ciężkim.

Marny rewolwer, nabyty za parę guldenów, a potem zadziwienie towarzyszków.

— Umrę!

Milczenie, w którym jemu zdawało się, iż wy-
czuwa niedowierzanie.

— Zabiję się!...

W ledwie krótka chwila pasowania się, rodzaj szalu, i potem rzucenie się głową w otchłań...

I ten strach, ta groza—to jasnowidzenie.

Pękła struna życia, pękły struny harfy, która nie była daną jeszcze dla niego, lecz jemu dla... wielu.

Przez umysł Anki przebiegają te myśli, krzyżują się, jak błyskawice.

Z twarzy młodego samobójcy czyta, iż są śmierci, niedające ukojenia. A potem, wśród drzew ciemnego lasu, jakby łopot skrzydeł przebiega, o gałęzie trąca.

Ptaków niema w tej pustce, coś jednak drży w powietrzu, drży niespokojnie dokoła nieruchomego ciała, jakby to niewidzialne, związane jeszcze z trupem, oderwać się nie chciało, nie mogło.

I krąży boleśnie, krąży trwożliwie, wyswobodzone bez woli, wyswobodzone zawczasie, przed rozkwitem, naznaczonym dłonią Przeznaczenia.

— To jego biedna dusza...—myśli Anka i ogarnia ją wielki smutek nad spłoszoną i strwożoną duszą samobójcy.

Powoli Anka osuwa się na klęczki. Oderwała rękę od głowy dziecka, które zamordowało wielką Piękność swej duszy, zamordowało bezlitośnie, egoistycznie, z brutalnością zwykłego mordercy.

I w pamięci Anki przesuwa się cała teoria tych młodych trupów-samobójców, nad którymi drży i trwoży się ich dusza.

Od lat kilku w zaświaty, na wieczne milczenie, odchodzi co czas pewien taki młody chłopak, odchodzi bez powodu, pełen samolubstwa, bez litości nad sobą samym, bez zastanowienia, że kwiat musi dojrzeć i opaść sam, aby dalej w innej formie istniał.

Co pewien czas znajdują na posłaniu łożka, lub na posłaniu mchu jednego z tych młodych, którzy zdumiewającym, królewskim gestem odsuwają czarę życia, nie dotknąwszy jej nawet.

I tłum przeciętny wyje z podziwu.

Taki królewski gest!

Młodość wchodzi w morze kiru. Cała teoria młodych. Nad trumną słychać szept: „dlaczego?“. Współtowarzysze i następcy lowią ten szept, truciznę upojeń. Bozkosze prowincjonalnych aktorów. Chwy-
tają się skrzydeł nieruchomych Nirwany. Tem wiel-

kiem słowem pozorują zbrodnię, dokonaną na własnej duszy. Obchodzą w Nirwanę!..

Szaleńcy!

Odchodzi w nią, kto dojrzał kwiatem do kresu przeznaczeń swoich!

Inaczej po przestworzach snuć się będą niedostrzegalne a wyczuwalne dla żyjących widma. Są one przy nas w nocnych ciszach, budzą nas tragizmem swej bolesnej tułaczki.

Pół śmierć!

Pół widmo!

Pół zgon!

Anka tę duszę umarłego tak czuje w tej chwili, tak jest z nią blisko w kontakcie, iż klęka przed jej wielkim bolesnym majestatem, przed wyrokiem tajemniczej męczarni, którą spłoszony duch nękać się będzie.

Ten tragizm był tak olbrzymi, że drobna walka Stalewskiego, jego nieśmiałe stawanie u „progu“, mignęło przed Anką jakimś pełzaniem robaka po brzegach błotnistego, ściekowego rowku.

Anka wzniosła oczy do góry, do sklepienia ciemnego drzew rozwianych a nieruchomych, i ślicznym, pełnym kobiecej dobroci gestem rozsunęła swe ręce, jakby sypała przed tragicznym Duchem różę swej litości.

— Nic dla ciebie nie mogę!.. nic!..—wyszeptala, jakby w usprawiedliwieniu swej bezradności. Z góry, od koronkowych gałęzi, spływało coś niepojętego, jakby lekki, zaledwie wyczuwalny, ciepły prąd.

Do czoła klęczącej kobiety przywiał, do jej dłoni otwartych, do dłoni, z których się rozsypały litośne kwiaty, i tym powiewem pożałił się, poskarżył, zmęczeniem, opuszczeniem swoim.

— Nic dla ciebie nie mogę!—powtórzyła Anka, i czoło jej, ręce, przestał całować powiew widomy, natomiast dokoła trupa niespokojnie snuło się to

niewidzialne, jakby powrócić chciało i rozpocząć wspólne, przerwane istnienie.

Z czarnego wnętrza lasu, nieśmiało, jakby na zwiady, wypłynęło kilka much i zabrzęczało leciuchno *requiem*. Umilkły, zwisły i nie dotykając trupa, cofnęły się w cień.

Nie czas jeszcze był—duch całą siecią łączności oplątał martwy słup ciała i rozpaczliwie o niego bił siłą swych ogni młodych. Lecz Anka te muchy dostrzegła i serce jej ścisnęło się nieokreślonym smutkiem.

— Więc tylko żer...

Dzięcięca twarz zmarłego, jego drobne, smukłe rączęta, tonące w mchu, to zewnętrzne Piękno, to tylko żer, padlina, nęcająca legiony barbarzyńskie i nieublagane.

A ponad tem cichy, bolesny, zerwany przedwcześnie duch.

Królewski gest chłopięcy zmieniał się w zbyt wielką grozę; wykwint szynkownianych postanowień w szereg faktów o strasznej tragiczności bezkresnych męczarni; źle pojęte w niechęci anemicznej zagłębienie się w ducha doktryny, wejście na drogę Nirwany rozpoczynało się rzuceniem duszy w otchłan bolesnej tułaczki—ciała, w rozkład, nieułatwiony drogą naturalną zaniku kresowego, lecz drogą barbarzyńskich, okrutnych żerów, których ból, kto wie, jak silnie może jeszcze czuć ten trup, ten nieruchomy trup.

Gdy Anka wyszła z lasu, stanęła aż olśniona złotem słonecznym, które załało całe pola, okalające przekłęty bór.

Dyszało to skwarem, ogniem rozkosznym, jak łono rozkochanej kobiety. Pełnia dojrzałości, przepych życia, potęga wytwórcza hymnem tryumfalnym biła w powietrze.

Rozkolysały się dzwony letniego Perigeum, święto uścisku Słońca i Ziemi aż szalało ekstazą na odkrytych lubieżnie rozkosznych jasnościach ziemnych. Kolysały się fale złotych zbóż, jakby mora ciała kochanki, zieleniały szmaragdy traw, ni to włosy rusalek omdlałych wzdłuż dróg, krwawiły się purpury maków wspomnieniem rozchylonych warg, z których płynie oddech gorący.

Ziemia i Słońce przywarły do się pocałunkiem świętym, a dokoła, w tej chwili cudu, była cisza tak wielka, spokój tak namiętny, tak zasluchany w dreszcze rozkoszy, iż Anka nie śmiała kroku stąpić, aby szelestem szat długich nie zgłuszyć czaru tych godów zlocistych. I ona sama, młoda i tak przeznaczona do twórczych celów, jak ta ziemia słońcem rozcałowana, nie uczuła jednak kontaktu rozkosznego z nastrojem przyrody. Nie przeniknął jej dreszcz słoneczny, stała jakoby przerażona myślą, iż tu odbywa się w jasności skapany cud wieczystego rozkwitu, podczas gdy w cieni leśnej zwolna ściela się zieloną pleśnią trupa i szalonym bolem wytrąconej duszy—Tajemnica śmierci.

Nagle rozkolysały się lekko zboża.

Ścieżką, wśród kłosów, szła ku Ance kobieta, która zdawała się zjawiać ze złota zbóż, ni to duch, ni to wielki, czarny mak.

Szła wolno, kolyszając się trochę, ocieniona skrzydłami dużego czarnego kapelusza.

Była słuszną, pełną, odziana w długą, czarną wełnę. Ręce miała skrzyżowane na piersiach, dziwnie białe i smukłe. Na jednym palcu grała tęcza brylantów. To był jedyny świetlany punkt w tej postaci.

Z pod skrzydeł kapelusza patrzyły matowe, bezbarwne źrenice. Twarz blada, trójkątna, włosy bez ściśle określonego koloru, jak smutna rama, ciemniały dokoła. Był to płatek zwiędłego kwiecica ta twarz bezbarwna.

Kobieta szła, zwrócona w stronę lasu, a kłosa przed nią odwracać się zdawały i takie strwożone.

Długa jej suknia wlokła się po ścieżce bez szelstu. Stóp jej widać nie było, a piers zdawała się nie poruszać oddechem.

Anka, stojąca na straży lasu, doznała wrażenia, jakgdyby duch dziwny a niechętny szedł w głąb lasu zabrać z sobą i powieść w dal ducha samobójcy.

Nie było w tym czarnym duchu litosnej śpieszności, ani w rękach, złożonych hieratyczną linią, gestów, rozsypujących kwiaty na grobach umarłych.

Nie było także w tej kobiecie pragnienia bezlitosnego ujrzenia dzieła zniszczenia i zadowolenia potwornej pasyi, zrodzonej z krzyżujących się ogni strasznych namiętności.

Nie było z tego nic w tych źrenicach, w tem kolysaniu się czarnych szat, w zaciśnięciu wąskiej linii warg.

To szedł raczej służaleczy duch, nie działająca moc.

Nie było to Bóstwo świątyni, wewnątrz której dokonywają się groźne tajemnice śmierci, to był raczej cień świątynnego sługi, wysłanego po nową ofiarę, giętką jeszcze i ciepłą w świeżości niedawnego zgonu.

Kobieta szklanemi źrenicami ogarnęła las i Ankę, wchłonęła wrażenie i nagle zmieniła kierunek drogi. Zamiast iść do lasa, zboczyła ścieżką, wijącą się wśród zbóż. Czarnym makiem płynęła wśród złota kłosów. Skrzydła kapelusza chwiała się przez chwilę, długie rękawy pochyły dotknięciem swoim kłosa i gięły je. To odejście jej było nagłe i zdzi-

wiło Ankę. Tak była pewną kierunku, w którym kobieta iść się zdawała, tak go wyczuwała w jej wzroku i liniach ciała.

Tymczasem czarna wizya, otulona jakby ciemną otęczą, o lekkim, purpurowym świetle, oddala się coraz bardziej.

W rozcałowanie słoneczne wchodziła cieniem i powoli stawiała się w oczach Anki niezwykle piękna przemiana.

Ten czarny cień kobiety, zamiast kłaść ciemną plamę w złoć słonecznych godów, zaczął sam rozpraszać się, rozpalać i jaśnieć, jak brylant czarny a cenny. Dokola niej, a może właśnie jako emana-cya jej samej, migotać zaczęły coraz więcej, coraz silniej, promienie otęczy i rozegrywać tęczowemi, oślepiającemi blaski. Postać śmiertelnej wysłanki rosła, zwiększała się, lecz ciemna jej sylwetka, właściwa istota, zacierała się powoli.

I teraz już Anka widziała tylko rozkolysaną wśród kłosów ognistą, promienną istotę, rozegraną snopem promieni, wchłoniętą i zapaloną przez moc słońca, które w chwili swego mistycznego ślubu z ziemią rozżarzało swym oddechem płomiennym nawet sługi śmierci, wysłane po żer ze świątyni, w których czarne marmury ociekają krwią i nad którymi szumia skrzydła sępów o rubinowych, lakomych żreni-cach.

W pełnię drobiazgowego życia wpadła Anka, powróciwszy do willi.

Przy stole obiadowym zasiadła cała rodzina artysty. Więc dzieci bez sukienek (szkoda białej piki) w fartuszkach z płótna usiłowały jeść „przy-zwoicie“ i zarazem zadowolić prymitywne instyn-ktu małych zwierzątek. Stalewska, zapuchnięta z płaczu, groźna, roztaczała atmosferę kobiety, dyszącej tragedją zdruzgotanej pychy.

Jednakże Stalewski pomiędzy nimi zdawał się więcej oderwany i nie stojący na pewnych, silnych nogach w rozwichrzeniu nerwowem, jakie wiało od zony.

Z nałogu, z instynktu solidaryzował się z na-strojem ogólnym, lecz widać było, iż myśl odbiega, pracuje inaczej, a przynajmniej pracować pragnie.

Anka zajęła swe miejsce i od pierwszej chwili uczuła groźną postawę Stalewskiej.

Owionął ją prąd nieprzyjazny, prawie wrogi.

Chciała powrócić do równowagi i oczyma wpiła się w żardinierkę, w której rozkwitały na środku stołu olbrzymie, fioletowe powoje i śnieżne nar-cyzy.

Aksamit kwiatów, ich niewinny czar, bezbron-ne oddanie się na pastwę ludzkich pragnień przy-strojenia klejnotami ich barw codzienności szarej, przejął Ankę wielką słodyczą.

Równocześnie jednak to pochylenie kielichów, to wędnięcie tragiczne liści, ta niema skarga nad mordem, dokonany przez ręce ludzi na nich—kwia-tach, przypomniały Ance żywo leżącego w lesie trupa.

— Jak on—pomyślała — przedwcześnie, przed kresem...

I współczuła duszy tych powojów aksamitnych, duszy tych narcyzów o słonecznych sercach w środ-ku śnieżnej korony.

— Nie spełniły przeznaczenia... jak cierpieć muszą!...

Stalewska z pod zsuniętych brwi śledziła Ankę. Wreszcie w zadumę dziewczyny wpadł skrze-czący jej głos:

— Czy wolno pomówić z panną Anką?

Anka głowę podniosła.

— Proszę.

Z żalem oderwała oczy od kwiatów.

W tej samej chwili, przez mgnienie jedno, dostrzegła, iż patrzył na kwiaty również Stalewski.

Zbiegły się ich źrenice poprzez ametysty, szmaragdy i topazy kwiecica. Rozmarzenie jakieś przepłynęło z jednych źrenic w drugie. I żal oderwania się od kwiatów, a może od tej zaledwie wy-czuwalnej, marzącej wymiany, zadrgał, jak ton trąconej lekko harfy.

Nie mniej istniał przecież, i choć było to jedno mgnienie, połączył źrenice Anki i Stalewskiego we wspólnej myśli i pragnieniu.

— Więc czy wolno pomówić? — zabrzmiał znów głos Stalewskiej.

— Proszę! — powtórzyła Anka.

— Kto usunąć mógł notatkę przychylną dla mego męża, którą wręczyłam pani wczoraj, a którą pani do dziennika zaniósła? Czy może mi pani to powiedzieć?

Anka milczała.

— Byłam w redakcyi — ciągnęła dalej Stalewska, a głos jej drżał coraz więcej gniewem — powiedziano mi, iż notatki takiej nie było. A przecież pani ją zaniósła.

— Tak jest — odparła Anka, a wielki przymus i gorycz ogarnął jej duszę.

— Zapewne pani nie dosyć poparła ową sprawę, skoro notatkę usunięto. Ojciec pani mógł przecież to zrobić dla nas. Pani nawet nie wie, ile dobrego byłaby ta notatka zrobiła, umieszczona dzisiaj...

Urwała i nagle pozbywszy się swej cukierkowej słodyczy, uderzyła pięścią w stół.

— Lajdakil... — zawołała.

Na rzęsach jej migotały łzy. Wargi jej drżały. Dzieci, korzystając z tej dywersyi, zaczęły śpiesznie jeść kurczęta palcami.

Stalewska zwróciła się do męża, widocznie oczekiwając od niego jakiegoś współdziałania myślą i słowem.

— Tak... lajdaki... chcą ciebie zniszczyć... chcą nas zrujnować... Zazdroszczą tych trochę pieniędzy, jakie zarabiamy.

— O co ci chodzi? nie rozumiem... — spytał Stalewski.

— Czas przecież, ażebyś się zapytał. Od rana jesteś jak zahypnotyzowany. Nic nie malowałeś i zdajesz się spać. Nie wiem, co ci się stało. Widzisz, co się ze mną dzieje, i nie zapytasz nawet, o co mi chodzi. Czy ja wiecznie mam troszczyć się o wszystko i dźwigać cię, jak Atlas na swoich ramionach?

I nagle napadła na dzieci.

— A to co? *Comment mangez-vous? Prenez les fourchettes!...*

Dzieci rzuciły się do widelców, na końcu stołu anemiczna, rozfryzowana bona pokryła się cieniem rumieńca.

— Wszystko na mnie... wszystko na mnie! — biadała dalej Stalewska — to już nie do zniesienia.

Oczy jej sztyletami pobiegły ku Ance.

— Czy może mi pani powiedzieć, kto tę notatkę usunął?!.. Muszę wiedzieć, kto jest w redakcyi moim wrogiem.

Wykrzywiła usta wzgardliwie.

— Uchodzę to zwierzę!

Anka uśmiechnęła się lekko.

— To ja notatkę podarłam i usunęłam — odparła.

— Pani? pani?

Oczy Stalewskiej rozwarły się szeroko. Oparła się o stół rękami i cofnęła z krzesłem.

— Pani! — Dlaczego pani nam szkodę wy-rządza?

— Nie wyrządzam szkody — wyrzekła dobitnie Anka — przeciwnie, chcę ochronić panią od śmiejszności, a talent męża pani od ostatecznej zagłady.

Padły te słowa nagle, niespodziewanie w tę atmosferę stojącego „na stanowisku pierwszorzędnym“ artysty, jak brutalny świst bicia na drzemiące w leniwym wypoczynku konie.

— Co? jak? — zapytała Stalewska.

I zwróciwszy się do męża, dodała:

— Słyszysz?

On zmarszczył brwi i widocznem było, że walczył z sobą.

Anka poprzez kwiaty patrzyła na niego i dostrzegła tę walkę. Ogarnęła ją wielka jakaś radość. Jak szybko, jak piorunująco szybko rozwielił się jej wpływ nad tą duszą. Ta walka różną już była od wczorajszych jego drwiących uwag, jakimi odpierał jej słowa.

Ciepłem sympatii wionęła Anka poprzez kwiaty w źrenice Stalewskiego.

Tymczasem silny skrzek Stalewskiej rozbrzmiewał coraz donośniej.

— Jak pani możesz mówić coś podobnego? Mój mąż jest znany i uznany. Pani chce ocalać jego talent, nie pozwalając, aby mu wyrażano słowa uznania?

W ferworze zapomniała, iż te „słowa uznania“ pisała ona sama. Opamiętała się jednak i zrećźnie naprawiała to zapomnienie.

— Bo ja w tej notatce wyraziłam tylko sąd ogółu... — dodała, krzywiąc usta.

Anka spojrzała na nią uważnie.

— Ogółu? — zapytała.

— Tak, ogółu, to jest większości ludzi inteligentnych... takich, którzy się znają na prawdziwej sztuce.

Przez las kwiatów wysłała Anka znów swój wzrok ku Stalewskiemu. I coś ten wzrok zatargał, bo Anka sama aż doznała fizycznego wstrząśnienia.

Stalewski z pod brwi ściągniętych spotkał się ze wzrokiem Anki i zajrzeli w swe oczy głęboko, o wiele głębiej niż zwykle.

W tej chwili odwrócił się ku żonie i ku wielkiemu jej zdumieniu wyrzekł dość oschle:

— Może lepiej byłoby, gdybyś ty notatek o mnie nie pisała...

— Polecę teraz komuś zaufanemu przepisywać, albo kupię maszynę i będę drukowała, jeśli ci chodzi o to, aby nie poznawano mego pisma.

— Nie — odparł Stalewski — chodzi jeszcze o to, abyś wcale o mnie nie pisała.

Stalewska znów otworzyła szeroko oczy.

— Już pozwól... — wyrzekła zirytowanym tonem — ja wiem najlepiej, jak ci robić reklamę.

— Ja nie chcę reklamy!

Słowa te padły zupełnie niespodziewanie w tę kuźnię łatwej i jawnej parady jarmarcznej, jaką było moralne wnętrze tego domu.

Stalewska spojrzała na męża z trwogą, jakby lękała się o jego zmysły.

— Nie chcesz reklamy? Co ci się stało? Ty wiesz przecież, iż inaczej się kroku nie zrobi naprzód...

— To zależy...

— Jakto zależy?...

— Tak, od tego, co się nazywa... naprzód.

— Pozwól, pozwól... chyba do tej chwili na mnie uskarżać się nie możesz.

Krew jej nabiegała do twarzy. Pod pudrem była prawie sina. Impertynencko rzucały się w oczy fałszywe rubiny jej kolczyków i malowane karminem wargi. Ręce haczykowały zgiętymi palcami bębniły po obrusie jakąś tarantellę.

Oczy błękitne obleciały w jednej chwili dostatek jadalni, kredens rzeźbiony, pulki, na których zieleniały szkła weneckie i bogate w barwy jaśniały talerze Alt Wien.

To wszystko było ich własnością, powstali z niego, teraz chodzi o to, aby te mury, ten dach nad głową był także ich, aby posiadali bodaj kupę cegieł i belek, ale aby posiadali...

Czegoż więc chce ten człowiek?

— Gdybym się nie zajmowała i nie czuwała nad tobą — syknęła przez zęby — nie wiem, jak daleko bylibyśmy zaszedli.

— Ty... ale ja...

I to było niespodziane. Wypowiedział bowiem te wyrazy, jak senny, jakby mu je ktoś dyktował.

A w Ance zamarło na chwilę technienie. Usłyszała swoją myśl. Tak, to ona pomyślała: „ty... ale on“...

— Co się dzieje — myślała — dlaczego ten człowiek jest echem moich myśli? co mnie z nim połączyło tak nagle? Pragnąłem go zbudzić... czyżby ta chwila nadeszła z szybkością piorunu?

Nagle Stalewski odwrócił się ku niej i patrząc turkusem swych źrenic w onyksy oczów Anki, wyrzekł jedno słowo:

— Tak!

Spłoszyła się jeszcze więcej.

— Co tak?... — wyszeptwała.

Lecz zamiast odpowiedzi, już rozległ się skrzek Stalewskiej.

— Skoro taką masz dla mnie wdzięczność za moje starania i trudy, dobrze... dobrze... ja usunę się... Niech piszą o tobie Narbuty, niech się troszcą panny Anki...

Szybkim ruchem wyjęła z kieszeni szlafroka dziennik z artykułem Narbuta i rzuciła go na stół.

— Weź, czytaj... dowiesz się, co o tobie zaczynają pisać..

Z nałogu „uznany“ wyciągnął rękę.

Był to gest czysto automatyczny, lecz nie mniej był i istniał.

Stalewska roześmiała się szyderczo.

— Czytaj, czytaj... bajazzo... dowiesz się, że jesteś stary, żeś się przeżył, że rozmazujesz śliną pomadki, kupowane na funty po straganach sztuki... Dowiesz się jeszcze więcej, że powinienes stać na przegierzu, jako okaz krzywdziciela poczuć estetycznych społeczeństwa, że... *que sais-je moi!*...

Wyrzucała z siebie ten potok słów, tryumfująca w swej złości, zmęczonej życiem i troskami kobiety. Mściła się w tej chwili za trawioną młodość na bolesnych uśmiechach do redaktorów o kołnierzach osypanych łupieżem i reporterów, wyzywających z siebie atmosferę „pokoju do śniadań“.

Zielonawym szafirem oczów śledziła Stalewska męża. Widząc, że zatrzymał rękę i nie otwiera dziennika, doznała uczucia gniewu, który pozbawił ją niemal przytomności.

— Usuwam się... rozumiesz... — syknęła — usuwam się, zostawiam cię własnym siłom, zobaczymy, dokąd dojdiesz!

On siedział teraz nieruchomy, lecz Anka dostrzegła, że wyraz jego twarzy przybrał na chwilę dawną, znaną jej maskę.

Zadrżały w nim fibry wielkiej zarozumiałości i przekonania, że to, co czynił do tej chwili, nie podlegało krytyce.

Byłaż to moc nałogu, czy powrót do dawnej fazy życiowej?

Stalewska z brzękiem breloków i szelestem wychodziła z pokoju. Starła się nadać temu faktowi olbrzymie znaczenie. Czuła jednak, iż jest to czyn sam przez się drobny. Obejrzała się za dziećmi

i użyla ich na poparcie swej potęgi domowej roztyranizowanej kwoki.

— Dzieci... za mną!

Usmarowany konfiturami drobiazg podreptał za matką. Stalewska bezwiednie prawie zaznaczyła od tej chwili rozdział rodzinny, który według jej mieszkańskich pojęć, miał być przedsmakiem groźnych nad miarę katastrof.

— Dzieci za mną!

Wyszła, unosząc obrażoną chętkę zbierania pieniędzy i urażoną macierzyńskość. Drzwi trzasnęły, urągając zasadom dobrego wychowania.

Chwilę słyhać było, jak lajała dzieci za obżeranie się konfiturami. Któreś dziecko na schodach upadło, ktoś kogoś klapnął i wreszcie nastąpiła duża, piękna cisza.

Poprzez fiolet aksamitny dzwonek, biel narcyzów i maków pełnych a rokosznych, poprzez konający pęk czarującego i omdlałego od bólu kwiecia, patrzyły teraz na siebie dwa wzroki, dwie dusze nagle, niepojęcie do siebie zbliżone. I dziwno było kobiecie, bo gdy właśnie ona stanowiła tu budzącą siłę, ogarnął ją nagle lęk i przesłodka zmieszanie nad dokonywającą się przenianą. Zdawało się, że waha się teraz co ma czynić wobec ścielającej się ku niej smugą zbudzoną — duszy. Ręce jej wyciągnięte, gotowe do przyjęcia szumiącego skrzydłami ptaka, tężały w pół drogi.

Stalewski odsunął od siebie dziennik.

— Czytać... nie będę — wyrzekł zwolna.

W Ance siłą woli rosła przewaga.

— Przeciwnie, pan ten artykuł przeczytasz.

— Słyszałaś pani przecież, obrzucają mnie w nim błotem.

— I właśnie dlatego pan ten artykuł przeczytasz.

Wyciągnęła rękę i położyła przed nim dziennik. Smuga słoneczna przecięła papier. Zaczerniły się w słońcu litery.

— Bajazzo!

— Dlaczego pani żądasz, ażebym się dobrowolnie dręczył?

— Dlatego, ażebyś pan raz poznał prawdę.

Słowo to zabrzmiało twardo, ostro w przestrzemi.

— To paszkwil!

— Nie, to prawda!

— Ja? ja jestem pajacem?

— Do tej chwili... tak!

I znów poprzez konające kwiaty biegły ku sobie ich oczy. Zrenice Anki, piękne, kojące, ducha tak pełne, iż zdawał się tryskać z nich snopamiżywczego fluidu, łagodziły ostrość słów.

Tę litość, tę łagodność nad torturą jego duszy podawały oczy Anki na skrzydełkach kwiecistych kielichów. Pot zaperlił się na czole mężczyzny.

— Czytaj pan!... — wionęło rozkazem cichym z ust Anki.

Oparł piękną swą głowę na rękę i czytać zaczął. Ona rozumiała i odczuwała mękę jego tyloletniej pychy, doprowadzonej kadzidlami szablonów reporterskich do zenitu.

Oczekiwała ciągle wybuchu, trywialnego zaciśnięcia pięści, potoku słów gniewnych lub bardziej męskiego zacięcia ust w ukrytej pasyi i dławionej namiętności.

Tymczasem Stalewski czytał artykuł Narbutta bez zewnętrznych, głośnych oznak swej duchowej

tortury. Tylko pobladł cokolwiek i w pochyleniu głowy, w przygarbieniu ramion dopatrzeć się można było wielkiej depresji moralnej, jaka go przepalać zaczynała. Zarzuty i obelgi, jakie mu ciskano bezwzględnie, z całą butą i okrucieństwem młodości, zamiast walić taranem w jego moralne ja, przenikały go, jak mgła śmiertcionośna i straszna.

Wreszcie dziennik wypadł z rąk Stalewskiego, a on siedział nieruchomy i milczący.

Snać przetrwał w sobie tę straszną a niespodziewaną gorycz, jaką go napojono.

Cios jednak był zbyt silny.

Stalewskiemu się zdało, jakby stanął nad krawędzią grobu.

„Stary pajac, malarz szyldów filisterskich enót, grabarz ducha, pluskwa cuchnąca, rozdęta do rozmiarów pawia, paleta, na której spodziewane ceny rozpuszczają odpowiednie barwy, linie przystosowane do pojęć pani Trzyprztyckiej, lubiącej „uczciwe landszafty“ nad kanapą, madonny w trepkach z magazynów karlsbadzkiego obuwia i w nimbie boskości słodkich kołtunek z małego miasteczka, nagości przypominające kąpiel pani aptekarzowej i jej córek, portrety prawdziwe *jeux de massacre* z bud jarmarcznych, ideały zarobkowe Boureau i zapędy w stronę Whistlera z domieszką Muchy, czasem piruet ku Tycyanom i Giorgionom, a zaraz potem, jakby dla okazania, ile sił i strun mieści jego harfa, przytupnicie podkówką, lamańcem technicznym, narzucenie kierzey i „ogromna swojskość“ kilkumetrowej odległości od miasta z błękitem (farbka do bielizny!) chałup i lanami zboża!... To wszystko rozmiennie na brzęczącą monetę, wśród kompromisów i ustępstw za zbrodnię, spełnioną z całą samowiedzą na estetyczności społeczeństwa, przytrzymywanie i obwiązywanie włóczką, wyprótą ze starych pończoch, skrzydeł dusz ludzkich. Sztuka owinięta

w pieluchy „nie nazbyt śmiałych“ ilustracji pism, mogących stanowić „ozdobę każdego familijnego domu“ i szympanowanie natury upiękzonej blażenstwami eunuchów w dziedzinie twórczej“...

To był cień, pochwylenie ledwie dalekie tonu Narbutta.

Właściwie było to zewnętrzne jego wypowiedzenie się. Lecz wewnątrz tkwiło to ziarno piekące jak żar, ten ogromny, potężny wyrzut za płytkość duszy, za to odsuwanie jej od objawów twórczości, za chwytnie się rzeczy powierzchownych bez nadania im łącznika z głębią, za martwość umysłną, już nie banalną, ale wręcz podłą i zbrodniczą.

Gdyby same słowa Narbutta połączyły się w jeden łańcuch wymysłów i drwin, Stalewski byłby gniewnem pluniciem przyjął zaczepkę. W tym jednak stanie ducha, w jakim za pośrednictwem Anki Stalewski się znajdował, uderzyła go przedewszystkiem druga i najważniejsza warstwa artykułu. Pauperskie wyszydzenie jego techniki i koncepcji pozostawiły go zimnym, lecz wyrzut odrzucenia „duszy“ z dzieł jego, ugodził go w samo serce.

Od wczoraj żył w atmosferze tych zarzutów.

— Wniknij w głębi duszy! — zadrgało w powietrzu.

Ocknął się i spojrzął w stronę Anki. Zdawało mu się, że przemówiła i że to jej głos zadźwięczał w przestrzeni. Lecz ona siedziała nieruchoma i tylko patrzyła na kwiaty, konające w mogile kryształowej żardinierki.

Biały mak, jeden biały mak, wytwornie biały i wytwornie pełny, nagle, całym deszczem płatków osypywać się zaczął.

Każdy płatek miał na sobie piętno wielkiego cierpienia i początku rozkładu. Padaly śnieżne smugi zmęczone i bolesne, jak lzy rozpaczy i smutku przedwcześnie zniszczonego istnienia.

Wysoko ponad inne kwiaty wystrzelał ten mak i słońce padające na niego złocistością promieni otaczało go jakby obręczą świetlaną i białawą.

Gdy liście padać zaczęły, otęcz ta nie rozchwiewała się, nie nikła.

Przeciwnie, dusza kwiatu zacieśniała się i plastyczniała, a w białej jej mgłę rozpalaly się świetlane, iskrzące promienie.

Zdawało się, iż dusza kwiatu rozpaczliwie chce trwać w wyznaczonym sobie punkcie, że ta dusza jeszcze nie wypełniła swego przeznaczenia i przez to samo boleśnie, tragicznie opiera się przedwczesnemu rozkładowi cielesności maku.

Płatki spadały ciągle, nieubłaganie i z melancholią właściwą rzeczom skończonym.

Ta słodka, cicha agonja przejmowała Ankę wielkim smutkiem.

Mysłą wiązała tę śmierć kwiatu ze śmiercią ujrzaną w lesie.

I tu i tam trup młody, sił pełen, pozbawiał się tych sił, szarpany gwałtem zgonu. Nie mógł wejść w okres przeznaczeń i w sfery nakreślone koniecznością błogiej transformacji, bo nie przebył łańcucha przemian koniecznych i ściśle oznaczonych niezmierzoną Siłą tajemniczej Potęgi rządzącej.

Nie pozostało już nic z maku, rozwiął się cały w strugę trupich szczątków i sterczał teraz niedojrzałym, chorobliwym, trupim owocem, rozpaczliwym w niewydajności swojej.

I tu ujrzała Anka rzecz niezwykle cudowną, która przejęła ją zachwytem i lękiem.

Tam, gdzie przed chwilą jeszcze bielal i pełniał mak, pozostała próżnia z sercem smutnego owocu, a dokoła niej otęcz świetlana drgała wciąż wyraźna i błyszcząca

Cały kontur poprzedni kwiatu zarysował się brylantową emanacją, jak monstrancja klejnotami sadzona.

Ta Dusza zamordowanego maku istniała, dawała niezaprzeczony znak życia, promieniała w ostatnim jakby jęku i prostocie. Anka wchłaniała ją w swój wzrok i teraz identyfikowała ją z tamtą duszą samobójcy, lopoczącą trwożliwie i boleśnie pod ciemnymi arkadami lasu.

Rozumiała, czuła, bolała razem z niemi, bezsilna.

I tak jak tam wśród mchów padała przed migocącą rozpaczliwemi blaski duszą zabitego Maku i słała ku niej litości pełne słowa:

— Ja nic dla ciebie nie mogę!...

Otęcz zaczęła gasnąć zwolna i rozwiewać się w mgłę. Wyczuwalność Anki widocznie traciła siłę napięcia, widmo duszy kwiatu przestaniały jej złudzenia niebytu.

Za chwilę monstrancja mgły i brylantowego fluidu znikła, pozostał przed Anką skurezony, zielony owoc niedojrzały, bezpożyteczny.

— Och! gdyby zrozumieć, w czym tkwi to, czego pragną oni wszyscy odemnie—sformułowała się wreszcie bolesna myśl Stalewskiego. Szedłem przecież zawsze w tym kierunku, chwyciłem „wyraz“ mych modeli... oni przecież mówią o duszy, o duszy rzeczy martwych... o duszy słów, barw, dźwięków... linii... Chaos we mnie, chcę zrozumieć... chcę...

Profesorskie jego „ja“ szarpnęło się raz jeszcze.

— Tys zrozumiał istotę sztuki... to stado głupców, którzy pewnym zbiorem pustych słów brzęczą w przestrzeni.

Lecz zaraz przyszła boleśnie zrodzona pełność.

— Nie! nie!...

Ku Ance wzrokiem się przygarnął i był tak silnie duchowo podniecony, że przez łodygę kwiatu, w okół pustki rozpadłego maku zamigotała mu słabo, bardzo słabo, lecz niezaprzeczalnie blaskami sadzona otęcza.

— Co to?... — pomyślał — „płomienny kontur nieistniejącego kwiatu“?

To widzenie trwało mgnienie oka, lecz nieopojętą siłą targnęło nim całym.

Ręką, bezwiednie podniesioną, Stalewski zakreślił kontur wizji.

I w tej chwili przez te brylantowe przesłanki napotkał źrenice Anki.

Zrozumiał, że i ona widziała, że i ona uczestniczyła w tem cudownem objawieniu jakiejś mistycznej potęgi. Więcej nawet, zrozumiał, że to przez nią on widzi to, czego dawniej dostrzedz nie mógł, a dzieje się to w cudowny sposób i z tak wielką szybkością, iż tchu mu na to nie staje.

Zdawało mu się, że w tej milczącej chwili, po przez brylanty widmowego kwiatu, twarz Anki, onyksy jej oczów promienieją ku niemu niezmiernym blaskiem. Ogarnęło go wielkie wzruszenie, roztopienie się jakiejś fatalnej, zimnej skorupy, która okrywała tak szczerze jądro jego duszy. Odkrył w sobie nagle i niespodziewanie innego człowieka. Stał na przelomie i ten inny człowiek podniósł się w nim nagle, rozwijając z szelestem i blaskiem skrzydła. Był bezczynny i olśniony długim snem, w którym był pogrążony. Nie umiał się orientować wśród mnóstwa Przyczyn, jakie zewsząd go otoczyły. Lecz był, lecz czuł, lecz istniał. Stalewski miał tę pewność zupełną i od trwogi przed nieznanym sobą omdlewał prawie w tej dziwnej godzinie...

Opuścił powieki i wzrok jego padł na dziennik, a słowo „Pajac“ zaczerpnęło się wśród opadłych makowych liści.

Wchłonął je w siebie teraz bez gniewu, bez bólu. Było ono wielkie, potężne swem przeznaczeniem. To słowo było faktem. Krwawiąc własnym strasznym bólem, wdarł się na Golgotę szukania przyczyn. I szedł teraz tą ścieżką, pozostawiając na niej szmaty swego ciała, przepojonego pychą i zuchwałstwem „dojścia“. Lecz czuł, iż nic go już nie wstrzyma, iż dalej iść musi, aż padnie przerażony ogromem własnej nędzy, którą brał za jasność i prawdę.

To, co się w nim działo, wyczuwała Anka z dokładnością zupełną. Wiedziała także, iż dla jego dobra, dla zupełnego oczyszczenia jego ducha z pstrych lachmanów pajaca, należy, aby przebył tę Golgotę i obliczył krwawo swe przeszłe życie. Wiedziała, że może mu dopomódz słowem, lecz cofnęła się przed tą pomocą. Tylko duchem swym, przepojonym gorącością wielką, powiała ku niemu poprzez widma konającego maku. Duchem szła obok niego przez Golgotę jego upokorzeń i tragicznego samopoznania, lecz nie wspierała go, ani zachęcała. Postanowiła iść tylko obok niego i być świadkiem jego bólu, cierpienia i stopniowego odrodzenia.

W milczeniu więc zupełnem patrzyła, jak Stalewski powstał od stołu, wziął do ręki dziennik i skierował się ku swej pracowni. Szedł jak nieprzytomny, błądliwy i bardzo zmęczony. Postarzał się w jednej chwili, jakby wziął na ramiona krzyż własnych błędów i pomyłek.

Już otworzył drzwi do pracowni i Anka dojrzała przepych nagromadzonych z zajądłością gospodarczej mrówki, sprzętów o duszach filisterskich lub pełnych urągania wygasłego, drobiazgowego Piękna.

I zrozumiała, że to krwawe wniknięcie w siebie nie będzie zupełne wśród kosztowności fałszy-

wych, które kołysać będą i koić swym zbytkiem zewnętrzny brutalność prawdy.

Szybko, prosto, w liniach bez załamań powstała Anka z miejsca i hieratycznym gestem rasowych rąk wstrzymała Stalewskiego.

— Nie tam!... — wyrzekła — tam nie dojrzy pan Prawdy.

Spojrzał na nią pytająco.

Podlegał jej zupełnie.

Anka odwróciła się ku rozwartemu szeroko oknu jadalni.

Szerokie przestrzenie pól, zalanych słońcem, rozplywały się w dal nieskończoną.

— Tam... — wyrzekła — tam spotkasz pan czystą istotę Prawdy... Tam tylko.

On spojrzał w tę przestrzeń słoneczną i doznał olśnienia.

Wiedział, rozumiał, iż w tej jasności każdy nawet drobny brud i małośćka wyjdą z całą bezwzględnością na jaw i ból jego zwiększą.

— Chodź ze mną! — wyszeptał cichą prośbę.

Lecz ona nie poruszyła się z miejsca.

— Ja pójdę z tobą... duszą moją! — wyrzekła z prostotą.

Odczuł ją, zrozumiał, uwierzył.

I poszedł w dal słoneczną z nędzą swoją, z której zaczynał z całą abnegacją zdzierać pstre zasłony.

Obok niego po słonecznej drodze płynęła cicha, dobroczynna, piękna myśl dobrej, wspaniałej w swej litosnej dobroci kobiety.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

WYCIĄG Z KATALOGU BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“ (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ“ (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1903.

Tom		CENA	
		w oprawie brosz. kop.	kop.
261, 262.	PAMIĘTNIKI PREZYDENTA KRÜGERA. Przekład J. Paszkiewiczówny i A. Morzkowskiej.	80	50
263, 268, 273.	Mikołaj Rey ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO. „Biblioteka pisarzy polskich“ tom I, II i III.	120	75
264, 265, 266.	Paweł Bourget. PO SZCZEBLACH. Powieść.	120	75
267.	Artur Oppman (Or-Ot). POEZYE.	40	25
269, 270.	Jenerał de Wet. TRZY LATA WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ. Przekład M. G.	80	50
271, 272.	Bret-Harte. OSTATNIE NOWELLE. Przekład W. Zyndram Kościatkowskiej.	80	50
274, 275.	Bogdan Jaxa Ronikier. PROMIENNA TON. Powieść.	80	50

Tom		CENA	
		w oprawie kop.	brosz. kop.
276, 277.	André-Bellessort. PODRÓŻ DO JAPONII, SPÓŁECZEŃSTWO JAPONSKIE. Przekład J. P.	80	50
278.	Bolesław Biernacki. BIURALIŚCI. Powieść	40	25
279.	Włodzimierz Trąpczyński. ALBANIA I MACEDONIA, KRAJ I LUDZIE.	40	25
280.	M. Domańska. CICHĄ MOC. Powieść.	40	25
281.	Jan Kochanowski. DZIEŁA. „Biblioteka pisarzy polskich“ tom I.	40	25
282, 283.	Maurycy Jókai. CZARNA KREW. Powieść, przełożyła B. Jaroszevska.	80	50
284.	NOWELE AMERYKAŃSKIE. Nagrodzone na konkursach, przekład Emilii Węsławskiej.	25	40
285, 286.	George Sand. OSTATNIA Z ALDINICH. W przekładzie i z przedmową Kazimierza Kaszewskiego.	80	50
287.	Cecylia Walewska. HISTORIA DZIECI. Powieść.	40	25
288.	Aleksander Kielland. KAPITAN WORSE. Powieść, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa.	40	25
289.	Ostoja. NAD MÓRZEM. Nowelle.	40	25
290.	Edmund Bogdanowicz (Nix). PAN ZA-GŁOBA i DYOGENES.	40	25
291, 292.	Th. Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych. ŻYCIE HODÓWCÓW AMERYKAŃSKICH.	80	50
293.	MILIONY. Nowelle żydowskie. Przełożył Jerzy Ohr.	40	25
294, 295.	Edward Rod. DAREMNE WYSIŁKI. Powieść. Tłómaczyła J. P.	80	50
296.	Jan Kochanowski. DZIEŁA. „Biblioteka pisarzy polskich“. Tom II.	40	25
297, 298.	Multatuli. MAKS HAVELAAR. Tłómaczyła Br. Neufeldówna.	80	50
299.	Juliusz Piasecki. WALKA. Powieść.	40	25
300, 301.	Andrzej Bonnefons. SPRZYMIERZENIE NAPOLEONA, FRYDERYK AUGUST. Przekład. Zofii Przyborowskiej.	80	50
202, 303.	Conan Doyle. PIES BASKERVILLE'ÓW. Powieść. Przełożyła Br. Neufeldówna.	80	50
304.	E Gebhart. PRZY DŹWIĘKU DZWONÓW. Legendy. Przekład z francuskiego M. K.	40	25